

Gerald Verner

CZARNY GARBUS

(The Black Hunchback)

Przełożyła z angielskiego Antonina Bronikowska

Tekst opracowano na podstawie wydania z 1937 r.

I. Cień na trawniku.

Paulina Langley przebudziła się nagle, przejęta nieokreślonym uczuciem strachu.

Leżała przez parę sekund z szeroko otwartymi oczami, wpatrzona w szarzącą biel sufitu, w owym stanie pośrednim między całkowitą przytomnością a sennym marzeniem, który ogarnia nas zazwyczaj po nagłym przebudzeniu z głębokiego snu.

Zasłony nie były zaciągnięte na okna jej sypialni i srebrzyste światło księżyca jasnym pasem wpadało przez otwarte okno, kładąc błyszczącą świetlną plamę w nogach jej łóżka i wyżej, na bladożółtej tapecie.

Leżała przez pewien czas nieruchomo, starając się na próżno przypomnieć sobie, co tak nagle przerwało jej sen. Wreszcie uniosła się na łokciu, sięgnęła na nocny stolik po zegarek i w mdłym świetle księżyca dostrzegła, że jest punkt druga. Jednocześnie gdzieś w głębi domu odezwały się dwa uderzenia ściszone oddaleniem. Jakiś zegar na dole bił godzinę. Gdy odkładała na stolik bransoletkę z zegarkiem, przebiegł ją lekki dreszcz; niewytłumaczone uczucie trwogi zmroziło krew w jej żyłach. A przecież noc była ciepła, naprawdę upalna - jedna z tych dusznych, męczących nocy w pełni lata, kiedy cisza staje się tak głęboka, że prawie wyczuwalna dla zmysłów.

Paulina rozbudziła się już zupełnie - wszelkie ślady snu znikły. Odrzucając kołdrę, wysunęła się z pościeli, zarzuciła na ramiona miękkiej jedwabny szlafrok i zaczęła szukać na ziemi nocnych pantofli. Gdy je znalazła i wsunęła w nie boscie stopy, jeszcze chwilę siedziała na brzegu łóżka, nasłuchując. Żaden dźwięk nie doszedł jej uszu. Noc była najzupełniej cicha i spokojna. Cóż mogło ją tak nagle obudzić? Na pewno nic realnego.

Gdy zastanawiała się nad tym, ogarnęło ją znowu to nieokreślone uczucie trwogi i grożącego niebezpieczeństwa.

Zupełnie rozbudzona, a niezadowolona, że pozwoliła się opanować jakiejś imaginacji, sięgnęła znów na stolik i wyszukała tam papierosa i zapalki.

Zapaliwszy wstała i przeszła do okna.

Przed nią rozpościerał się cudny, prawie bajkowy widok. Langley Towers był to niski starożytny zamek w kształcie litery T zbudowany z kamiennych, mchem porośniętych bloków. Na obydwóch końcach krótkich ramion wyrastały kwadratowe, przysadziste wieże, od których posiadłość otrzymała swą nazwę.

Okno sypialni Pauliny wychodziło na wielki, strzyżony gazon, ograniczony z jednej strony wysokim żywopłotem z cisów, a z drugiej gęstą grupą krzaczastych rododendronów. Na końcu tego trawnika kamienne schodki prowadziły do będącego właśnie w pełnym rozkwicie rosarium, którego zapach przez otwarte okno dochodził do pokoju dziewczyny. Dalej poza rozległym sadem wznosiły się lasem porośnięte pagórki, które z trzech stron otaczały całą posiadłość.

Krajobraz ten w świetle księżycowej pełni roztaczał się przed oczami dziewczyny wyraźnie jak za dnia, a tylko dziwnie złagodzony i jakby malowany czarodziejską barwą. Długie szaroliliowe cienie wysokich sosen rosnących za rododendronami kładły się na szmaragdowy aksamit trawnika, sztywne i nieruchome. Niebo było bez chmurki i najłżejszy wietrzyk nie poruszał listkami. Można było uwierzyć, że sam duch pokoju zamieszkuje tę miejscowość i unosi się nad całą okolicą. A jednak mimo cudownego uroku nocy i otaczającej ją ciszy, dziewczynę ogarnęło osobliwe uczucie zupełnie niewytłumaczalnego strachu.

Nagle wstrzymała oddech i syknęła. Z ręki jej wypadł płonący papieros i dymiąc legł na dywanie.

Daleko, na końcu trawnika, pod krzakami coś się poruszyło. Na białych cieniach sosen ukazał się jakiś cień inny - ciemniejszy.

Ręce Pauliny zacisnęły się bezwiednie, aż paznokcie wbiła w miękkie dłonie; wyteżyła wzrok, by dojrzeć kontury tego cienia. Ale znów wszystko znieruchomiało. Czyż mogło to być tylko przywidzenie?

Złudzenie księżycowego światła i gra wyobraźni?

Schyliła się i podniosła płonący papieros, który zdążył już wypalić czarną plamę na dywanie. Prostując się, zobaczyła znów jakiś ruch na trawniku i teraz pewna już była, że to nie imaginacja. Jakiś cień przesuwiał się wolno po oświetlonej księżycem murawie - jakiś nieokreślony, bezkształtny cień nie mający konturów ani znaczenia.

Wstrzymując oddech ze strachu, dziewczyna wpatrzyła się w ogród jak zaczarowana. Ów cień, ślizgając się od jednej cienistej plamy do drugiej, zbliżał się ku domowi, z każdą chwilą stawał się wyraźniejszy, przybierał w jej oczach określony kształt i formował się w bryłę.

Chciała krzyknąć, uciec, oderwać się od tego okna, ale strach chwycił ją kleszczami za gardło, a do stóp przywiązał stufuntowe ciężary. Wrosła w ziemię niezdolna ruszyć się lub przemówić - niezdolna już do niczego, prócz wpatrywania się w ten złowróżbny, milczący, niesamowity cień na gazonie.

Przez myśl przeleciała jej treść legendy, przywiązanej do Langley Towers: Czarny Garbus! - bezkształtna postać w czerni, która straszyla dokoła pałacu. Cień zbliżał się wciąż i wreszcie ujrzała go dokładnie... miał on przysadzistą postać karła śmiesznie naśladującą człowiecze kształty...

Nagle gdzieś w głębi domu trzasnęły z hukiem jakieś drzwi, po czym usłyszała szybko biegnące kroki.

Hałas ten przerwał czary. Ze zduszonym krzykiem zgrozy rzuciła się ku drzwiom i otworzyła je na oścież.

Korytarz za nimi był zupełnie ciemny, bo łamał się pod prostym kątem i końcowe okno nie dawało na tę część żadnego światła. Gdy szukała wyłącznika na ścianie, usłyszała drugie trzaśnięcie drzwiami. Zdawało się ono pochodzić gdzieś z dołu. Dopadłszy wyłącznika, nacisnęła go i uczuła ulgę, gdy korytarz zalało światło.

Zanim zdecydowała się posunąć naprzód, nasłuchiwała jeszcze chwilę, ale po ostatnim huku zamykanych drzwi, który wstrząsnął domem, znów zaległa cisza i milczenie.

Paulina Langley nie należała do panien cierpiących na modną dolegliwość, zwaną ogólnie nerwami, a stanowiącą wytłumaczenie tak wielu grzechów.

Przeciwnie, była to zdrowa dziewczyna, która dużo czasu spędzała na otwartym powietrzu, czemu zawdzięczała swą cudowną cerę nie podniesioną żadną sztuką, lecz tylko malowaną powietrzem i słońcem. Nie była nerwowa, a jednak w tym momencie opanowało ją drzenie i zawrót głowy i musiała oprzeć się o ścianę, by nie upaść. Uczucie grozy, wciąż obecne od chwili przebudzenia, stało się silniejsze. Opanowała się najwyższym wysiłkiem woli i tak szybko, jak tylko poniosły ją rozdygotane nogi, pobiegła na koniec korytarza i po schodach na niższe piętro. Znajdował się tam pokój jej ojca i tak samo jak jej własny, wychodził na tyły pałacu i strzyżony gazon. Gdy się zbliżyła do drzwi, serce jej nagle zabiło gwałtownie i ucichło. Drzwi były szeroko otwarte. Z trudem zrobiła jeszcze parę kroków i weszła do pokoju. Zalany był księżycowym światłem napływającym przez okno, którego zasłona, widocznie gwałtownie szarpnięta, zwisała pozrywana z mosiężnych kółek. Pokój był pusty! Na łóżku pościel rozrzucona była w pośpiechu i brak było szlafroka, który zazwyczaj wisiał w nogach łóżka. Ojciec musiał gdzieś nagle wybiec - ale po co? Gdy się nad tym zastanawiała, ze dworu zabrzmiał ostry krzyk, po którym natychmiast rozległy się dwa szybko po sobie następujące strzały.

Z uczuciem jakby lodowata dłoń ścisnęła jej serce, Paulina rzuciła się do okna. Między dwoma cieniami sosen wyciągniętymi nieruchomo na trawniku leżała wyraźna w księżycowym blasku postać ludzka i dziewczyna uczuła, jak przejmując ją lodowały dreszcz, bo postać ta była owinięta w łatwy do rozpoznania fioletowy szlafrok jej ojca. A potem zobaczyła jeszcze coś więcej: jakiś nieokreślony cień, który zdawał się krążyć jak sęp nad ciałem rozciągniętym na gazonie.

Cień ten był bezkształtny i niesamowicie złowróżbny.

Dziewczyna chwiała się chwilę, chwytając rękami za firanki, aż z

krzykiem osunęła się na ziemię zemdlona.

II. Legenda.

Antoni Vyne, sławny reporter dziennika The Daily Messenger, siedział zgarbiony w rzeźbionym dębowym fotelu przed założonym papierami biurkiem. Palce jego bębniły nieustannego marsza na poręczach, podczas gdy prawa noga do taktu wybijała niecierpliwy capstrzyk na posadzce. Antoni był wściekły. Od tygodnia prawie Daily Messenger pozbawiony był jakichkolwiek donioślejszych nowin, a Sims, redaktor wiadomości bieżących, stawał się niemożliwy. Musiano rozpisywać się szeroko o tematach ubezpieczeniowych i różnych mało interesujących potocznych sprawach, które sztucznie trzeba było rozdymać, ale nie trafiało się nic, co by wypełniło i ozdobiło tytułową kartę. Co prawda, w tym samym położeniu były wszystkie inne codzienne gazety, ale nie pocieszało to ani trochę reportera i czuł, że czas już najwyższy wynaleźć jakąś interesującą sensację, która by przywróciła mu honor w oczach zwierzchników.

Przecież ogłoszenie Kup The Messenger i zobacz, co Vyne dzisiaj pisze! - jest równie znane i popularne wśród czytelników, jak na przykład Zachowaj swą dziecięcą cerę! - okrzyk ten słyszało się równie często w Brixton, jak i na Bond Street. Doprawdy w całym Londynie nie było chyba w żadnej sferze człowieka, który nie znałby i nie cenił pióra Antoniego Vyne'a.

Reportera nic tak nie złościło jak konieczność fabrykowania samemu ciekawych „nowin”, dlatego też spędził większą część ubiegłej nocy na bezcelowej wędrówce po Londynie w nadziei znalezienia jakiegoś tematu, ale mu się to nie udało. Zniechęcony i porządnie zmęczony wrócił do swego mieszkania i łóżka, by się przekonać, że wskutek dusznego gorąca nocy i zaabsorbowania umysłu niezdolny jest usnąć. O wpół do siódmej zaniechał próby spania, wstał, wykąpał się i przeszedł do gabinetu.

Pokój, w którym Antoni wykonywał większą część swej pracy, był zwierciadłem jego upodobań. Meble, dywany, rzadkie sztychy wskazywały na człowieka o wyrobionym smaku, a całe urządzenie zdradzało artystę. To

artystyczne nastawienie nie miało przyczynić się do jego powodzenia, posiadał bowiem zdolność dostrzegania w wypadkach codziennych tego, co uchodziło oczom ludzi o pospolitszym odczuciu, i strona sprawy, którą on sam tylko widział, zawsze była ciekawsza od spostrzeżeń innych. Temu zawdzięczał swoją wyjątkową pozycję w dziedzinie pióra.

Policja Scotland Yardu uważała go też za swego współpracownika, bo w wielu wypadkach jego osobliwa intuicja odnalazła punkty widzenia pominięte przez wysoko wykształconych fachowcówdetektywów. Sposób bycia miał tak czarujący, że nie miał nieprzyjaciół; bez wątplenia poza osobistym urokiem swą popularność zawdzięczał i temu, że pozwalał zawsze policji korzystać ze zrobionych przez siebie odkryć, a sam kontentował się tematem do sensacyjnego artykułu w The Messenger zadowolony, że pobije rywali z innych pism.

Z niecierpliwym okrzykiem sięgnął po słuchawkę telefonu, chcąc zadzwonić do swego przyjaciela Jacka Darrela, by mu przypomnieć, że oczekuje go na śniadanie.

Nie można sobie wyobrazić dwóch ludzi mniej podobnych do siebie jak Antoni i jego przyjaciel Jack Darrel. Wiele osób dziwiło się tej przyjaźni, ale mało kto wiedział, co ich właściwie łączy. Byli wprawdzie szkolnymi kolegami i wtedy Darrel był „popychadłem”

Antoniego, a Vyne wsławił się kiedyś uratowaniem życia Darrela z narażeniem własnego, w kąpielowym wypadku. Incydent ten uczynił z Antoniego bohatera w oczach Darrela, który posiadał znaczny majątek, nie pracował i po skończeniu szkół stał się cieniem przyjaciela i jego nieodstępnym faktotum - biorąc żywy udział w większej części jego przygód. O ile Antoni był wysoki i miał powierzchowność arystokratyczną - o tyle Darrel, niski i krępy, miał plebejuszowski wygląd.

Wiadome było, że jakiś dowcipniś z Fleet Street nazwał ich Patem i Patachonem, ale złośliwość pochodziła niewątpliwie z zazdrości, która, jak

mówią, pleni się między piszącą bracią.

Jedno było pewne, że ci dwaj rozumieli się doskonale i może właśnie kontrastowo powolny, prawie tępy umysł Darrela okazywał się nieraz pomocnym hamulcem dla szybkiej, wnikliwej i prawie intuicyjnej orientacji Antoniego Vyne'a.

Antoni właśnie podnosił słuchawkę telefonu, gdy wszedł służący, niosąc w ręku bilet wizytowy.

- Nie byłem pewien, czy pan już wstał - rzekł - ale jest na dole jakaś młoda pani, która chce się z panem widzieć koniecznie, koniecznie... tak powiedziała.

Antoni wziął mu z reki bilet i spojrzał nań zdziwiony.

- Poproś tu pannę Langley - rzekł odsuwając telefon i wstając.

Frost wyszedł, a reporter stał parę sekund, gniotąc w palcach kartkę bristolu. Kilkakrotnie spotykał on Paulinę Langley, a ojca jej znał bardzo dobrze. Co znaczy wczesna wizyta tej panny? Jedyne rzecz niezwyklej wagi mogła sprowadzić ją o takiej porze z dalekiej okolicy Buckinghamshire. Pukanie do drzwi przerwało jego myśli i we drzwiach ukazał się Frost, wpuszczając Paulinę do pokoju.

Wysoka blondynka, skromnie ubrana w doskonale skrojony granatowy szewiotowy kostium. Małeńki, ściśle przylegający kapelusik uwydatniał owal jej twarzy z głębokimi, przezroczystymi, niebieskimi oczami, małym lekko zadartym noskiem i ślicznie wykrojonymi ustami. Antoni, idąc ku niej z powitaniem, zauważył jednak, że oczy jej były ciemno podkrążone, a powieki lekko napuchnięte, jakby po niedawnym płaczu.

- Dzień dobry pani - rzekł, przysuwając jej fotel. - Strasznie mi miło panią widzieć, choć daremnie się głowię, czemu zawdzięczam przyjemność odwiedzin pani.

Panienska z westchnieniem ulgi usiadła w wygodnym, głębokim fotelu i nerwowo zaczęła ściągać rękawiczki. Parę sekund minęło, zanim przemówiła, a

w czasie krótkiego milczenia szare oczy Antoniego Vyne'a szybko wchłonęły każdy szczegół jej postaci.

Najwidoczniej zaledwie przyszła do siebie po jakimś nerwowym wstrząsie, bo ręce jej, zmagające się teraz z guzikami rękawiczek, drżały silnie, choć całą siłą starała się pokonać wzruszenie.

- Spodziewam się - rzekła wreszcie melodyjnym głosem - że zechce mi pan wybaczyć wtargnięcie tutaj o tak nieodpowiedniej porze.

Wiedząc, że przyjaźni się pan z ojcem, myślałam że... że... - urwała nerwowo.

- Niepotrzebnie się pani tłumaczy - rzekł reporter z uśmiechem. - Będzie mi niewymownie miło dopomóc pani w czymkolwiek. Proszę mi opowiedzieć, co to panią tak dręczy?

- Jaki pan miły - odpowiedziała z wdzięcznością, podczas gdy cień uśmiechu uniósł kąciki jej ładnych ust i rozjaśnił smutną twarzyczkę. - Byłam pewna, że pan zechce mi pomóc; tatuś tak często mówił o panu, więc naturalnie postanowiłam zwrócić się do pana, zanim zawiadomię policję. O, panie, straszne mam zmartwienie! Boję się, że z tatusiem musiało się stać coś złego.

Głos jej załamał się w łkanie.

- Trzeba się uspokoić, droga pani, nerwy ma pani poszarpane. Koniecznie trzeba się opanować. Czy przyjechała pani do mnie prosto z Buckinghamshire?

Skinęła głowa.

- Natychmiast pomyślałam o panu - odparła głosem, który drżał mimo wysiłku - i zaraz wyjechałam.

- I pewno nie jadła pani nawet śniadania - ciągnął dalej Antoni - ale teraz musi pani...

- Nie, doprawdy - broniła się - nie mogłabym nic jeść.

- W każdym razie, niech pani lepiej napije się kawy - rzekł reporter idąc do dzwonka - to pani dobrze zrobi, a potem powie mi pani, co panią tak przeraziło.

Gorąca kawa, którą wniósł Frost, podtrzymała siły dziewczyny i gdy postawiła filiżankę, Vyne usiadł na narożniku biurka i wsunął ręce głęboko do kieszeni spodni.

- A teraz - zaproponował - proszę mi wszystko dokładnie opowiedzieć.

- Sama nie wiem, jak zacząć - szepnęła nerwowo po krótkiej pauzie. - Było to koło drugiej nad ranem, nagle zbudziłam się z głębokiego snu. Nie wiem zupełnie, co mnie obudziło, zdawałam sobie tylko sprawę z uczucia niesłychanego strachu. Czując, że nie mogę usnąć, wstałam i zapaliłam papierosa w nadziei, że mnie to uspokoi. Była piękna noc, pełnia księżyca, ale gorąco i duszno, więc poszłam do okna i wyglądałam na ogród. Mój pokój wychodzi na wielki gazon i w świetle księżyca wszystko było prawie tak wyraźne, jak za dnia. Gdy tak stałam przy oknie, dziwna, nieokreślona obawa wzmogła się we mnie.

Może wyda się to panu głupie i dziecinne, ale trudno mi wytłumaczyć straszną grozę, jaką czułam w tej chwili.

Na trawniku było dużo cieniów i nagle zobaczyłam, jak jeden z nich, jakiś przysadzisty, bezkształtny cień, poruszył się i zbliżył ku domowi. Przyszło mi na myśl podanie, przechowywane w naszym rodzie, o Czarnym Garbusie, postaci, która zjawia się jako zwiastun śmierci każdego Langleya. W tej chwili usłyszałam o piętro niżej trzaśnięcie drzwiami i czyjeś szybkie kroki.

Zdawało mi się, że hałas pochodzi z pokoju tatusia, ale nie byłam pewna. Opanowawszy trwogę wyszłam z sypialni i zbiegłam po schodach do jego pokoju, który jest pod moim. Byłam już w korytarzu, gdy trzasnęły drugie drzwi na dole. Gdy dobiegłam do sypialni tatusia, zastałam drzwi na korytarz szeroko otwarte i pokój pusty. Jego okno, tak jak moje, wychodzi na gazon i gdy minęłam próg, usłyszałam z parku krzyk, a po nim dwa strzały. Rzuciłam się do okna i zobaczyłam ojca leżącego na trawie, a nad nim schyloną krępą, karłowatą postać - postać Czarnego Garbusa z naszej legendy!

Zatrzymała się, by chwycić oddech. Opowiedziała zdarzenie tak żywo, że

Antoni Vyne poczuł nagle przyśpieszenie pulsu i lekki dreszczyk przeszedł mu po plecach. W oczach zapłonął mu ogień zaciekawienia, ale nie zrobił żadnej uwagi, czekając końca opowiadania dziewczyny.

- Zdaje się, że potem musiałam zemdleć - ciągnęła dalej - bo następna rzecz, którą pamiętam, to schylona nade mną twarz Hume'a, naszego kamerdynera. Gdy zupełnie wróciłam do przytomności, powiedział mi, że zbudził go huk wystrzałów i zszedł zobaczyć, co się dzieje. Przechodząc koło pokoju tatusia, zdumiał się, zastawszy drzwi otwarte, ale pomyślał, że pewno tatusia też zbudziły strzały. Gdy jednak zajrzał do pokoju, znalazł mnie leżącą koło okna i przekonawszy się, że zemdlałam, cucił mnie, aż przyszłam do przytomności. Powiedziałam mu zaraz, co widziałam. Już też i cały dom się zbudził i Hume zostawił mnie pod opieką gospodyni, pani Wakefield, i wyszedł do parku, żeby się przekonać, co się stało z ojcem. Wkrótce powrócił. Zapewniał, że mi się to wszystko chyba śniło, bo nie znalazł żadnego śladu na trawie i wszędzie było cicho. Na razie bardzo mnie to uspokoiło i sama zaczęłam przypuszczać, że wszystko było objawem jakiejś halucynacji, gdy jednak czas upływał, a tatuś nie dawał znaku życia, zaczęłam się znów niepokoić. Hume obudził Yeatsa, szofera, i we trzech z ogrodnikiem starannie przeszukali park, wciąż nawołując. Tymczasem zupełnie już przyszłam do siebie po zemdleniu i razem z gospodynią poszłam na miejsce, gdzie widziałam, czy zdawało mi się, że widziałam leżącego tatusia.

Na to wspomnienie przeszedł ją dreszcz, lecz prawie natychmiast mówiła dalej: - Nie panie, to nie była imaginacja; na trawie mokrej od rosy pozostał wyraźny odcisk czegoś ciężkiego, co tam musiało leżeć, a obok kilka kropel świeżej krwi! Nie może pan sobie nawet wyobrazić mojego przerażenia i uczucia grozy przy tym odkryciu.

Wiedziałam już, że jakiś okropny los spotkał tatusia, przypomniałam sobie wtedy pana... i zaraz kazałam Yeatsowi zajeżdżać samochodem. Było około piątej, rozwidniło się zupełnie, a tatuś był już nieobecny pół trzeciej godziny.

Czy pan, panie Vyne, zgodziłby się pojechać do Langley Towers i dociec, co się stało z tatusiem? Nie mam nikogo innego, do kogo mogłabym się zwrócić, a tak strasznie martwię się i boję!

- Muszę połączyć się najpierw z redakcją i dostać pozwolenie - odrzekł Antoni - ale nie sądzę, żeby były jakie trudności. Bardzo to osobliwa historia, proszę pani. Szalenie jestem nią zainteresowany.

- Więc jedzie pan? - zawołała z błyszczącymi oczami. - Nawet sobie pan nie wyobraża, jak nieskończenie jestem wdzięczna!

- A właściwie, to ja powinienem być wdzięczny - uśmiechnął się Antoni. Szybko odwrócił się do telefonu.

- Chwilkę, proszę mi wybaczyć - rzekł, podnosząc słuchawkę. W parę sekund potem usłyszał w aparacie melancholijny głos Simsa. Antoni opowiedział mu w paru słowach przygodę panny Langley.

- Może to właśnie będzie to, czego szukamy - zakończył.

Sims chrząknął w telefon.

- Nie zdaje mi się, żeby w tym było coś dla nas - rzekł ogarnięty pesymizmem. - Co najwyżej będzie pan miał wymówkę, żeby przez parę dni ujeżdżać po okolicy. No dobrze, próbuj pan, ale strzeż się, jeżeli jutro wieczór nie będzie gotowej sensacji na tytułową kartę.

Telefon szczyknął; Vyne położył słuchawkę i pośpiesznie zwrócił się do dziewczyny.

- Wszystko będzie dobrze - rzekł wesoło - teraz pragnąłbym jeszcze zadać pani parę pytań.

Wstał i wybrał sobie papierosa, po czym, otrzymawszy pozwolenie Pauliny, zapalił. Usiadłszy na biurku przybrał poprzednią pozycję. Przez parę sekund milczał puszczając niebieskie kółka dymu, które ulatywały pod sufit.

- Ma się rozumieć - zauważył wreszcie - że sir Owen mógł oddalić się z domu z jakiegoś ważnego, osobistego powodu - tego nie możemy pomijać.

- Ależ tatuś miał na sobie tylko nocną piżamę i szlafrok - zaprzeczyła

dziewczyna. - Nie mógł pójść daleko w takim stroju, a gdyby był w parku, byłby się odezwał, gdy Hume i Yeats szukali go nawołując.

- Pewno, że byłby się odezwał - zgodził się reporter. - Ja tylko wskazuję możliwość, ale mało widzę prawdopodobieństwa. Gdy wyjrzała pani oknem po tych strzałach, po czym poznała pani, że leżący na gazonie człowiek, to sir Owen.

- Poznałam szlafrok tatusia - odrzekła Paulina.

- Jest on ostrego fioletowego koloru. Nie mogłam się omylić.

- Więc twarzy nie widziała pani wtedy? - pytał dalej Antoni.

Dziewczyna wstrząsnęła głową.

- Nie - odpowiedziała - widziałam tylko szlafrok, ale przecież nikt inny nie mógł go włożyć, tylko tatuś.

Antoni zaciągnął się głęboko papierosem, po czym spytał:

- A huk tych strzałów czy wydał się pani bliski czy daleki?

- O, zupełnie bliski, tuż pod oknem.

- A czy była dłuższa przerwa między jednym strzałem a drugim?

- Nie - odrzekła - właściwie oba zabrzmiały prawie jednocześnie.

- Pani, ma się rozumieć, nie podejrzewa żadnej prawdopodobnej przyczyny dziwnego zniknięcia sir Owena? - rzekł Antoni. - Czy nie miał on, na przykład, jakichś nieprzyjaciół, którzy by mogli czyhać na niego?

- Żadnych, o których bym słyszała - odrzekła.

- Tatuś jest bardzo lubiany w sąsiedztwie i okolicy, a właściwie kto tylko go znał, musiał go lubić. Może był mało zżyty z ludźmi - mówię o bliskich przyjaźniach - bo większość czasu spędzał wśród swych książek i bardzo rzadko wyjeżdżał. Pracował zwykle w bibliotece i ostatnio zdawało mu się, że odnalazł klucz od zagadki skarbu Langleyów.

Antoni spojrzał żywo na pannę po tym jej ostatnim zdaniu. Oczy rozbłysły mu ciekawością.

- Skarb Langleyów? - powtórzył. - Co to takiego?

- Ma to związek z podaniem o Czarnym Garbusie - odpowiedziała. - Zdaje mi się nawet, że stanowi początek legendy o owym duchu, który straszy w naszym rodzie. Ja nigdy w to wszystko bardzo nie wierzyłam, ale tatuś zdawał się brać rzecz całą na serio.

- Pragnąłbym bardzo usłyszeć tę historię - rzekł Antoni.

- Ależ panie! - zaprotestowała Paulina. - Przecież legenda o czymś, co stało się przed setkami lat, nie mogła wpłynąć na dzisiejszą przygodę tatusia.

- Nie bezpośrednio, ale może pośrednio - odrzekł Vyne - a mam zasadę nie bagatelizować żadnej, najmniejszej informacji, która mogłaby mieć wpływ, choćby nieznaczący, na sprawę, którą się zajmuję. W tym wypadku związek wydaje mi się zupełnie możliwy, skoro, jak pani chwilę temu mówiła, sir Owen brał tę rzecz zupełnie na serio i mocno się nią interesował.

- Naturalnie, o ile pan przywiązuje do tego znaczenie - odrzekła Paulina - spróbuję opowiedzieć panu tę historię, choć obawiam się, że sama wiem o niej niewiele, jedynie to, co mi tatuś od czasu do czasu opowiadał.

Zanim jednak zdążyła powiedzieć coś więcej, przerwało jej pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołał Antoni, marszcząc brwi, które jednak wygładziły się natychmiast, gdy ujrzał wchodzącego gościa.

- Halo, Jack! - zawołał. - Ranny ptaszek z ciebie!

Tłustą twarz Jacka Darrela rozszerzył jeszcze uśmiech.

- Myślałem, o ile masz dzień wolny, że moglibyśmy przejechać się samochodem do... - przerwał spostrzegłszy siedzącą pannę i byłby wycofał się mrużąc przeproszenie, gdyby go Antoni nie zatrzymał.

- Doskonale, że przychodzisz. Jack - rzekł reporter przedstawiając go i pospiesznie wytłumaczył przyjacielowi przyczynę ранnej wizyty Pauliny.

Darrel słuchał z zaciekawioną, żywo błyszczącymi, małymi oczkami. Vyne, skończywszy opowiadanie, zwrócił się do dziewczyny.

- Przepraszam, że przerwałem pani - rzekł - ale chcę, żeby Darrel od

początku jasno zdawał sobie sprawę z całej rzeczy, bo jeśli mam się pani na co przydać, będę potrzebował i jego pomocy. Jeżeli pani zechce teraz mówić dalej, słucham jak najuważniej.

- O ile pamiętam - zaczęła Paulina - legenda Langley Towers bierze początek w roku 1193.

Częściowo należy ona do historii i wiąże się z pochwyleniem Ryszarda Lwie Serce przez arcyksięcia austriackiego Leopolda. Pewno pan o tym więcej wie ode mnie. Ryszard w powrocie z Ziemi Świętej zagnany został przez burzę na Adriatyk, gdzie okręt rozbił się blisko brzegu, a on ocalał. Gdy usiłował przedostać się przez Niemcy, pochwycony był przez Leopolda, który musiał odstąpić swego jeńca cesarzowi niemieckiemu Henrykowi VI, a ten zażądał okupu za zdrowy powrót Ryszarda do Angli. Król Jan, który rządził wtedy Anglią w nieobecności starszego brata, dojrzał tu szansę, by uniemożliwić powrót Ryszarda i pozbawić go tronu. Udając głośno, że robi wszystko możebne, by zgromadzić żądany okup, po cichu starał się wszelkimi siłami, żeby Ryszard pozostał uwięziony w Niemczech.

O ile pamiętam, legenda głosi, że Robin Hood, wygnaniec z Sherwood Forest (skąd - należy wspomnieć - pochodzi nasza rodzina), był kiedyś serdecznym przyjacielem Ryszarda i gdy tylko posłyszał, że Ryszard jest jeńcem Henryka, postanowił zgromadzać na swoją rękę pieniądze potrzebne na wykup. Wiedział, że osobiście nie może tych pieniędzy dostawić do Londynu, gdzie na jego głowę nałożona była cena, więc ułożył się z przyjacielem swym, sir Ralphem Lang-Lee, naszym przodkiem, a lojalnym stronnikiem Ryszarda, że ten żadaną sumę w sztabach złota odbierze w swym zamku Lee-Towers w Buckinghamshire i dostawi ją do Londynu w swoim własnym imieniu.

Szpiedzy na żołdzie króla Jana prędko zwęszyli tę umowę i jeden z nich, garbaty karzeł, nazwiskiem Shard, zdołał jakimś sposobem wkręcić się między rycerstwo zwołane do eskortowania pieniędzy z Sherwoodu do Lee-Towers. Król Jan miał zamiar pochwytać złoto podczas tego przewozu, ale Robin Hood

zmienił w ostatniej chwili datę wysyłki i wyprawił skarb o dzień wcześniej, niż pierwotnie zamierzano.

Pokrzyżowało to wszystkie tak dokładnie ułożone plany Jana. Złoto przybyło szczęśliwie do Lee-Towers, a sir Ralph kończył przygotowania, by nazajutrz odwiedzić je osobiście do Londynu. Tejże nocy jednak ostrzeżono go, że posiadłość otoczona jest przez szpiegów króla Jana. Podanie mówi, że w obawie przed napadem na Lee-Towers i chcąc zabezpieczyć skarb przed wpadnięciem w niepowołane ręce, sir Ralph, sam, bez niczyjej wiadomości, ukrył gdzieś skrzynie ze sztabami i odłożył zamierzoną podróż. Karzeł Shard, który projektował odbić skarb w drodze z Lee-Towers do Londynu, postarał się wtedy zawiadomić swych wspólników o zmianie planu, ale został schwytyany przez sir Ralpha, który mszcząc się za zdradę udusił go własnymi rękami. W tym wysiłku popękały mu żyły.

Wiedząc, że umiera i słabnąc z każdą chwilą z utraty krwi, sir Ralph kazał sobie podać pergamin i inkaust i ułożywszy klucz, który wskazywał miejsce ukrycia skrzyń ze skarbem, rozkazał doręczyć go Robinowi Hoodowi. W osiem godzin potem umarł.

Prawie natychmiast po jego śmierci wykonano atak na Lee-Towers i wśród zamętu walki zginął papier zawierający wskazówkę, gdzie ukryto skarb.

Dokument ten został, zdaje się, schowany przez jednego z dworzan sir Ralpha, który bał się, że pismo wpadnie w ręce szpiegów króla Jana. W każdym razie odnaleziono je znacznie później i obecnie znajduje się ono w posiadaniu mojego ojca. Nazwisko Lang-Lee z biegiem czasu zmieniło się na Langley, a prapradziadek mego ojca, sir Maurice Langley, zmienił też nazwę majątku na Langley Towers. Duch garbatego karła Sharda w czarnej kurcie i opończy straszy po dziś dzień dokoła wież zamku i ukazuje się stale jako przepowiednia śmierci lub nieszczęścia mającego spaść na kogoś z członków naszego rodu. Ochrzczono go mianem Czarnego Garbusa. Obawiam się, że bardzo źle opowiedziałam panom to podanie, ale w bibliotece tatusia znajdziecie całą rzecz

opisaną szczegółowo w starym manuskrypcie.

Gdy skończyła, Antoni wstał i wrzucił niedopałek papierosa do kominka.

- Co za nadzwyczaj ciekawa historia! - zauważył, wybierając sobie z pudełka drugiego papierosa i zapalając go. - Naturalnie, nikt nigdy nie odkrył skarbu?

- Nie - odpowiedziała - choć paru członków naszej rodziny szukało go bezskutecznie przez całe lata.

Jak panu mówiłam, tatuś interesował się tym bardzo i teraz właśnie zdawało mu się, że natrafił na rozwiązanie zagadki - Jakież wskazówki zawiera to pismo, które miał zostawić sir Ralph, a które jest obecnie w posiadaniu ojca pani? - spytał Darrel.

- Nikt nigdy go nie mógł zrozumieć - odrzekła Paulina. - Jest to krótki wierszyk zupełnie bez sensu.

Jeżeli w całej tej historii ukrycia skarbu w ogóle jest coś z prawdy, to myślę, że sir Ralph był już chyba w malignie, gdy taki wiersz napisał.

Antoni zaśmiał się. Cokolwiek sir Owen myślał o legendzie Langley Towers, znać było, że córka jego uważa całe podanie za bajkę.

- Nie pamięta pani pewno tego wierszyka? - spytał.

- O, owszem, słyszałam go tak często, że utkwił mi w pamięci. Brzmi on tak:

Strzały z łuku wypuszczone Polecą w jedyną stronę, W którąkolwiek ze stron świata, Byle nie, skąd wiatr przelata.

A gdy padną na spoczynek, W piersi masz zawartość skrzynek.

Strasznie niedorzeczne, prawda?

- Rzeczywiście, że z tego niewiele się można domyślić - odrzekł reporter marszcząc czoło. - Może tu jednak być jakieś ukryte znaczenie, na które nikt dotychczas nie natrafił. Chciałbym zobaczyć oryginał wierszyka, a także szczegółowy opis podania.

- Umilkł na chwilę, patrząc niewidzącymi oczami na regularne, błękitne

kółka dymu uciekające z papierosa.

- Gdy pani wyjrzała oknem z pokoju ojca - zaczął znowu - i zobaczyła, w swoim mniemaniu, leżącą na trawniku jego postać, zdawało się pani także, że widzi kogoś schylonego nad nim?

Paulina zbladła i gdy przemówiła, głos jej był niezwykle cichy i zmieniony.

- To było okropne! Jakiś bezkształtny stwór, podobny do drapieżnego sępa. Dostrzegłam, go tylko przez chwilę, ale wydało mi się, że to chyba... - zatrzymała się - Czarny Garbus!

- Czy pani zupełnie jest pewna, że to nie było przywidzenie? - spytał Antoni. - Proszę mi nie brać za złe, ale w takiej chwili mogło to być złudzenie świetlne, jakiś osobliwy cień gałęzi lub ulistnienia?

- Jestem zupełnie pewna, że to była rzeczywistość - zdecydowanie odparła dziewczyna. - Nie wiem, co to było, ale gotowa jestem przysiąc, że ta postać była dotykalna.

Antoni Vyne przez chwilę siedział nieruchomo, aż zwrócił się do Darrela.

- Każ Frostowi zaraz podać nam śniadanie, stary - rzekł - każ mu też spakować walizki dla nas obojgu. Jedziemy natychmiast z panną Langley.

Darrel zerwał się ochotnie. Dziwna historia pobudziła jego wyobraźnię i pragnął jak najprędzej dostać się na teren akcji. Był już przy drzwiach, gdy go Antoni zatrzymał.

- A niech Frost nie zapomni dać śniadania szoferowi pani - dodał.

Tłuszcioch kiwnął głową. Zaledwie się oddalił, gdy ostro zadzwonił telefon. Antoni pośpiesznie odwrócił się i zdjął słuchawkę. Zamieniwszy parę słów zwrócił się do Pauliny.

- To do pani - rzekł - z Langley Towers.

Dziewczyna zerwała się i pochwyciła słuchawkę.

- Może dowiedzieli się czego o tatusiu! - zawołała radośnie, ale słuchając głosu w aparacie, nagle krzyknęła, słuchawka wypadła jej z rąk i zawisła na

sznurze. Vyne pochylił się nad dziewczyną przerażony białością jej zmienionej twarzy.

- Co się stało? - spytał prędko.

- Ach! - dyszała ciężko, opierając się na nim, by nie upaść - to Hume mówił. Coś złego dzieje się dokoła Langley Towers. Odkryli właśnie zwłoki leśniczego Trvisa, postrzelonego w serce, na okólniku w Home Covert.

III. Osobliwe zachowanie pana Franka Cunninghama.

W dwie godziny później wielki Daimler, w którym siedzieli Antoni Vyne, Jack Darrel i panna Langley, skręcił w wysadzoną kasztanami aleją, prowadzącą do podjazdu w Langley Towers. Jazda była rozkoszna w cudownym letnim słońcu i wielka maszyna szła świetnie, przebywając mile za milami ze ścisłością zegarka.

Dojeżdżając poczuli wszyscy, że są głodni, bo Darrel i Vyne zjedli tylko pośpieszną przekąskę, a dziewczyna w ogóle nie chciała nic wziąć do ust i dopiero na naleganie Antoniego zdecydowała się na suchy tost do kawy.

Plamy słoneczne, przepuszczone przez gąszcz wspaniałych kasztanów, tworzyły ruchomy, zdobny złotem kobierzec na pięknie utrzymanym żwirze zajazdu, po którym cicho toczył się samochód. Gdy minęli pierwszy zakręt, ukazał się ich oczom zamek.

Niegdyś otaczała Langley Towers fosa dawno już wysuszona i zasypana, tak że obecnie został jej ślad w lekkim wzniesieniu terenu. Zasypanie fosy pociągnęło za sobą usunięcie zwodzonego mostu i miejsce jego zajął podjazd z szeregiem przestronnych kamiennych schodów. Zostały jednak starodawne dębowe masywne drzwi wejściowe ujęte w żelazne okucia, a nad nimi puste miejsce, na które dawniej zachodziła spuszczana krata. Antoni Vyne, wielki amator starożytnej architektury, z zachwytem spoglądał na pokryte bluszczem mury starego rozległego dworzyszcza. Gdy samochód zatrzymał się przed schodami podjazdu, ciężkie drzwi frontowe rozwarły się na oścież i powitał ich starszy siwowłosy kamerdyner, poprzedzony przez lokaja, który zajął się

walizkami.

- Czy nic jeszcze nie wiecie o tatusiu, Hume? - spytała panna, gdy Darrel pomagał jej wysiąść z samochodu.

Stary sługa smutno potrząsnął siwą głową.

- Nie, panienko, nic nie wiadomo. Jakby się nasz pan we mgle rozpułynał. A jeszcze do tego ta śmierć Trávisa. Straszne, straszne przejścia! Policja już tu jest, inspektor Porson jest obecnie na okólniku w Home Covert.

- Jakim sposobem dowiedzieli się tak prędko? - zapytał Antoni.

- To ja telefonowałem zaraz po odkryciu ciała leśniczego - odrzekł Hume z godnością. - Rozumiałem, że tak się należy.

- O tak, dobrze zrobiliście. Myślałem - rzekł do Darrela - że będziemy mogli rozejrzeć się nieco, zanim nadejdzie policja. Pani pozwoli - zwrócił się do panny Langley - chciałbym przede wszystkim zobaczyć Home Covert, gdzie znaleziono ciało leśniczego. Może Hume pokaże nam drogę.

- Trzeba robić wszystko, co ten pan każe, Hume - rzekła Paulina. - Pan Vyne jest przyjacielem mojego ojca i razem z panem Darrelem przyjechali specjalnie pomagać w poszukiwaniach.

Kamerdyner skłonił się, a w parę chwil potem poszli za okazałym starcem przez gazon, w stronę niżej położonego rosarium i ciągnących się poza nim zalesionych pagórków.

Wysoki, kruszący się już mur z szarego kamienia oddzielał ogród różany od sadu, a w środku ogrodzenia były mocne, dębowe wrota. Stały one teraz uchylone i minąwszy je, wszyscy trzej poszli prędko ścieżką wijącą się między drzewami i wkrótce zobaczyli dwie postacie w uniformach policyjnych, które zdawały się szukać czegoś w krzakach stanowiących tu gęste podszycie lasu. Słyszając kroki Antoniego, Darrela i kamerdynera, wyprostowali się. Był to miejscowy inspektor i posterunkowy.

Inspektor Porson był krępy, tłusty, o wybitnie wiejskim wyglądzie, z wielkim, rozwianym, płomiennorudym wąsem, który razem z parą wodnistych,

niebieskich, przerażająco wysadzonych oczu nadawał jego fizjonomi podwójne podobieństwo do wesołego sztokfiszka i do foki.

Antoni przedstawił mu się, a inspektor okazał wielkie zainteresowanie, jako że znane mu było nazwisko rozślawnione po całej Angli przez The Messenger.

- To pan jest pan Vyne? - rzekł niskim głosem, zatrącając dialektem. - Szkoda, że tu nic ciekawego dla pana się nie znajdzie. Według mnie jest to po prostu sprawka jakiegoś kłusownika.

- Możliwe, że ma pan rację, inspektorze - odrzekł Antoni uprzejmie. - Skoro jednak znalazłem się w tych stronach, pewien jestem, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, żebym się rozejrzał w tej sprawie.

- Ależ proszę! - rzekł inspektor Porson. - Oto jest ciało. Biedny Travis, taki miły brach, najpocziwszy człowiek na świecie!

Wskazał im drogę do małej kępy krzaków, pod którą leżały zwłoki wielkiego, brodatego mężczyzny.

Jedno ramię odrzucone miał od ciała pod prostym kątem, a palce dłoni zaciśnięte. Druga ręka ściśle przylegała do korpusu.

Wielka plama krwi występowała na welwetowej kamizelce, w okolicy serca. Antoni Vyne stał przez chwilę, patrząc na twarz trupa, a potem ukląkł na jedno kolano przy ciele i całą uwagę skoncentrował na zaciśniętej ręce. Następnie wyciągnął z kieszeni lupę i przez nią starannie przyjrzał się krwawej plamie na kamizelce. Po chwili podniósł oczy.

- Są wyraźne znaki osmalenia - zauważył, patrząc na Porsona. - Strzał musiał być dany zupełnie z bliska; zdaje się, że pochodził z rewolweru lub automatycznego pistoletu.

Inspektor, potakując, kiwał wielką głową.

- To samo powiedział doktor - odparł z godnością. - Mówił, że śmierć musiała być natychmiastowa.

- To jednak nie bardzo zgadza się z pańską teorią o kłusownikach. Jak się

panu zdaje? - rzekł Antoni i znów powrócił do zaciśniętej ręki. - Kłusownicy rzadko noszą ze sobą rewolwery lub automatyczne pistolety. - Mówiąc tak, ostrożnie odchyłał zaciśnięte palce, po czym wyprostował się trzymając w ręku mały przedmiot, który błysnął w przesianych poprzez liście słonecznych promieniach.

Darrel pochylił się nad nim żywo.

- Co to jest? - spytał zaciekawiony.

Antoni Vyne trzymał mały przedmiot na rozpostartej dłoni, a inspektor i Darrel przyglądali mu się z najwyższym zainteresowaniem.

Była to złota kulka w rodzaju tych, które często zakańczają dewizki i które można otwierać w kształt krzyża. Wnętrze ich zawiera masońskie insygnia. Na maleńkim kółku u wierzchołka kulki wisiały jeszcze dwa czy trzy ogniwka cieniutkiego, złotego łańcuszka.

Wyraźnie zerwany został w walce.

- Nie wiem, jak mogłem tego nie zauważyć - zdziwił się inspektor Porson.

- Nie przyszło mi na myśl otwierać mu pięści - mówił zasmuconym głosem.

Antoni uśmiechnął się, wstał i otrzepał spodnie; na okrągłej, dobrotliwej twarzy miał wyraz zatroskania i Darrel domyślił się, że przyjaciel jego więcej wyczytał z odnalezionego talizmanu, niż ktokolwiek z obecnych.

- To już zupełnie obala moje posądzenie kłusowników, prawda? - ciągnął dalej Porson - a jakie jest pańskie zdanie, panie Vyne?

- Obawiam się, inspektorze, że jeszcze za wcześnie, bym mógł w tej sprawie wyrazić jakąkolwiek opinię. Jednego wszakże jestem pewien, że to zabójstwo nie jest dziełem kłusownika. Kto pierwszy znalazł tego biedaka?

- Ogrodnik, proszę pana - wtrącił Hume. - Może pan chce z nim mówić? Jest teraz w różanym ogrodzie.

- Chwilowo - rzekł Antoni - jeszcze tutaj nie skończyłem.

Zaczął badać grunt w pobliżu ciała. Był on porządnie rozdeptany wielkimi buciskami inspektora i policjanta i po paru minutach Vyne przekonał

się, że jest zupełnie bezcelowe szukanie jakichkolwiek śladów wśród tych licznych odcisków obuwia. Powrócił więc do leżących zwłok i schyliwszy się zbadał dokładnie podeszwy jego butów. Dziwny ognik zaświecił w jego jasnych oczach, gdy po chwili zwrócił się do Hume'a.

- A teraz - rzekł - chętnie zobaczyłbym się z ogrodnikiem, jeżeli zechcecie zaprowadzić mnie do niego. Mam nadzieję i z panem jeszcze się później zobaczyć, inspektorze. W każdym razie, jeśli uda mi się coś nowego odkryć, zawiadomię pana natychmiast.

Inspektor Porson miał minę zawiedzioną, że nie był proszony o towarzyszenie reporterowi w dalszej inspekcji, ale nie śmiał się narzucać.

W powrotnej drodze do domu Antoni wydawał się zamyślony. Raz tylko odezwał się do Hume'a; - Czy nic nie mówiono inspektorowi o zniknięciu sir Owena?

Kamerdyner pokręcił siwą głową.

- Nie, proszę pana - odrzekł. - Panienska kazała mi nic nie mówić nikomu, póki się z panem nie zobaczy, więc to samo przykazałem służbie.

Vyne skinął głową potakująco.

- Sądzę, że chwilowo lepiej o tym wcale nie gadać - zgodził się.

Doszli właśnie do rosarium i zaraz dostrzegli tam ogrodnika, zajętego w narożniku. Hume zostawił ich razem i powrócił do domu. Stary Edwards, ogrodnik, okazał się gadatliwym starowiną, nie gardzącym wcale ploteczkami.

Antoni Vyne był mistrzem w sztuce wydobywania wiadomości ze świadków, więc po paru minutach on i stary badylarz spacerowali zatopieni w przyjacielskiej pogawędce. Okazało się, że Edwards odkrył ciało Trávisa zupełnie przypadkowo. Około wpół do ósmej poszedł do szopy po tyczki do wiązania kwiatów.

- I bardzo to dziwne, proszę pana - zauważył - bardzo dziwne. Byłem tam już raz dziś rano, znacznie wcześniej i mógłbym przysiąc, że nic tam nie leżało, a potem pracowałem ciągle w pobliżu tego miejsca i nie słyszałem nic a nic!

Antoni rzucił spojrzenie na Darrela, który zdumiał się, bo w tym spojrzeniu, był błysk tryumfu, którego znaczenia Darrel nie potrafił sobie wytłumaczyć.

- Nie można przecież wystrzelić bez huku - ciągnął dalej staruszek - a przynajmniej ludzkie stworzenie tego nie potrafi.

Głos jego zniżył się do szeptu, gdy wymawiał ostatnie słowa.

- Chyba pan nie przypuszcza, że to jaki duch zabił Trvisa? - zapytał Antoni z uśmiechem.

Stary Edwards przyjrzał mu się ze szczególnym wyrazem twarzy.

- Wolno się panu śmiać, wolno! - rzekł poważnie - ale tu się teraz dzieją dziwne rzeczy. Może pan już słyszał o tutejszej legendzie. We wsi mówią teraz, że ten Czarny Garbus znów się ukazał. Ja tam go nie widziałem i - daj Boże - nie zobaczę, bo kto go ujrzy, to pewna śmierć; ale znam kogoś, co go widział...

- urwał nagle.

- A czy ten ktoś żyje jeszcze? - spytał Vyne, wciąż się uśmiechając.

- Nie - odpowiedział wolno - właśnie, że już nie żyje... to był Travis!

Na te poważne słowa ogrodnika Jack Darrel mimo tropikalnego upału poczuł zimny dreszcz w krzyżach.

- Więc Travis widział Czarnego Garbusa? - rzekł Antoni po namyśle. - Kiedyż to było?

- Ze trzy dni temu - odrzekł stary Edwards, zadowolony, że jego słowa wywarły takie wrażenie. - Nazajutrz opowiedział mi o tym rano, gdyśmy się zeszli na zwykły półkwaterek w gospodzie Pod synem marnotrawnym. Chodził on, jak zwykle, po swoim rewirze w lesie i koło trzeciej, właśnie gdy się zaczęło rozwidniać, zdawało mu się, że słyszy jakieś kroki w pobliżu schroniska na okólniku. Na razie myślał, że to kłusownik i podsunął się jak najbliżej posłyszanego szmeru, ale zanim doszedł, wszystko ucichło.

Nasłuchiwał jeszcze i już się żaden odgłos nie odezwał, więc pomyślał, że mu się przywidziało. Nagle zobaczył, że coś rusza się wśród krzaków. Zawołał:

Stój! - a gdy nie otrzymał odpowiedzi, rzucił się w pogoń. Mówił, że ktokolwiek to był, przemykał się w stronę pałacu.

Słyszał, jak się to ruszało, ale nic już nie widział, bo noc była pochmurna i zaczęło padać. Wreszcie wydostał się na małą polankę i wtedy dopiero zobaczył to wyraźnie.

Powiada, że była to postać skulonego garbusa, ubranego w czarną opończę, który wcale nie miał twarzy. Travis tak się przeraził, że już nie poszedł dalej i tamten gdzieś mu przepadł. Teraz, kiedy tak się stało z biednym Travisem, wiem już na pewno, że to był Czarny Garbus - zakończył swe opowiadanie ogrodnik.

- Czy on wtedy mówił komukolwiek prócz pana o tym, co widział? - spytał Antoni, który zdawał się ogromnie przejęty historią starego.

- A jakże! - odrzekł Edwards. - Nazajutrz rano powiedział o tym naszemu panu. Ale sir Owen odpowiedział mu, żeby nie był głupi i żeby o tym nie gadał, bo sobie wcale nie życzy, żeby takie bajdy poszły między ludzi. Mnie się zdaje, że nasz pan nie powinien był lekceważyć tego, co Travis mu wtedy mówił.

- Czy pan myśli, że zniknięcie sir Owena ma co wspólnego z ukazaniem się Czarnego Garbusa? - dowiadywał się Antoni.

Ogrodnik namyślił się chwilę, zanim odpowiedział.

- To i pan wie, że nasz pan gdzieś zginął? - rzekł wreszcie. - No, a nam kazali nic o tym nie mówić. Ale kiedy pan wszystko wie, to już nie zaszkodzi, jak swoje powiem. - Zatrzymał się i obejrzał dokoła, jakby chciał sprawdzić, czy kto nie podsłuchuje, po czym ciągnął dalej: - Jak już mówiłem, dziwne się tu teraz rzeczy dzieją. Jakieś „złe” snuje się dokoła pałacu i to nie wróży nic dobrego dla Langleyów. Jestem już stary, proszę pana, może obaj panowie śmiejecie się ze mnie, ale co wiem, to wiem. Tu się dzieją niesamowite rzeczy.

I Czarny Garbus, i zniknięcie naszego pana, i zamordowanie biednego, poczciwego Travisa, to wszystko dziwne i szczerze panom powiem: ja się boję!

Antoni Vyne wsunął staruszkowi pół korony w chętnie wyciągniętą rękę,

a potem razem z Darrelem wolno poszedł przez trawnik. Obaj milczeli, a reporter miał bardzo zatroskany wyraz twarzy.

Paulina stała na brzegu murawy rozmawiając z wysokim, dobrze zbudowanym, wygolonym młodym człowiekiem w szarym flanelowym garniturze. Antoni i jego przyjaciel spostrzegli ich, wychodząc zza klombu rododendronów. Przedstawiła im go jako Franka Cunninghama.

- Właśnie opowiadam Frankowi o tajemniczym zniknięciu tatusia - rzekła, gdy się przywitani.

- Nadzwyczajna historia, prawda, panie Vyne?

- rzekł Cunningham miłym, głębokim głosem. - A to morderstwo Trávisa? Wszystko razem niepojęte!

- Na pewno da się to wyjaśnić bardzo prosto - odrzekł reporter. - Przekonałem się, że im bardziej niepojęte są zdarzenia, tym łatwiej dają zwykle rozwiązać.

- Miejmy nadzieję, że i tu tak będzie - rzekł Cunningham - ale chyba pan jeszcze nie znalazł żadnej przewodniej nici?

- Dotychczas tylko to - odpowiedział Antoni i wyjął z kieszeni mały złoty breloczek, pokazując go na otwartej dłoni. - Znaleźliśmy to zaciśnięte w ręce nieżywego Trávisa. Najwidoczniej zostało urwane z jakiegoś łańcuszka. Przypuszczam... Ale co? co się panu stało? - przerwał nagle.

Twarz Franka Cunninghama zbiełała i poszarzała, gdy wzrok jego padł na przedmiot trzymany przez Antoniego.

- Nie, to niemożliwe, niemożliwe... - mamrotał prawie niedosłyszalnie - ale jeśli tak, to okropne, okropne!

IV. Strzał.

Antoni Vyne wpatrywał się chwilę w młodego człowieka. Po tych stłumionych paru słowach Cunningham szalonym wysiłkiem woli zdołał opanować wzruszenie i szybko przyszedł do siebie. Paulina położyła mu rękę na ramieniu i niespokojnie patrzyła mu w oczy z wyrazem współczucia w

głębokich, błękitnych źrenicach.

- Co ci jest, Frank? - spytała. - Czy ci niedobrze?

Cunningham przeciągnął drżącą ręką po czole.

- Już przeszło, już mi dobrze, kochanie - odrzekł, choć głos drżał mu jeszcze, mimo starań, żeby brzmiał naturalnie. - Nic takiego. Lekki zawrót głowy, pewno z upału. Bo też dziś szalone gorąco.

Antoni wiedział, że młody człowiek kłamie, ale nie przeczył. W całym zbiegu okoliczności uważał, że mądrzej będzie przepuścić ten incydent bez komentarza, ale w przyszłości postanowił mieć baczne oko na Cunninghama i wybadać go co do tego wzruszenia, gdy tylko trafi się odpowiednia sposobność. W tej chwili najbardziej mu chodziło o obejrzenie miejsca, gdzie Paulina widziała ślady krwi, a poprzednio leżącego ojca. Na jego prośbę poprowadziła ich gazonem do miejsca, oddalonego o jakieś sto jardów od pałacu, koło gęstego skupiska rododendronów ocienionych wąskim pasem wysokich sosen. Tu zatrzymała się i wskazała na trawę, może o jard od krzaków.

- To było tutaj, panie - rzekła cicho.

Darrel poszedł oczami za wskazówką jej ręki i wyraźnie dojrzał brunatną plamę na szmaragdowej zieleni strzyżonego trawnika, a dokoła kilka mniejszych plam równie złowróżbnych. Antoni z wyciągniętą szyją wpatrywał się również w ślady krwi. Był to jedyny znak, jaki tu pozostał, bo odcisk leżącego ciała na trawie, o którym wspominała dziewczyna, już dawno zniknął; naturalna elastyczność trawy podniosła źdźbła i nadała im zwykły wygląd. Vyne pozwolił teraz spojrzeniom swym błądzić dookoła w coraz szerszym kręgu, biorąc krwawą plamę za środek poszukiwań. Po chwili wolnym krokiem zaczął iść wzdłuż krzaków ku rosarium. Po przejściu kilku kroków zatrzymał się.

Prawie u swych stóp zobaczył nową plamę, nie większą od miedziaka lecz bardzo wyraźną, a o dwa kroki dalej - jeszcze jedną. Ostatnia była pod samymi krzakami, prawie na skraju murawy, gdzie zaczynała się już pulchna ziemia i Darrel, który śledził z zaciekawieniem ruchy przyjaciela, zobaczył, że w miejscu

tym rododendrony były połamane, jakby przeciągano między nimi jakiś ciężki przedmiot. W kilku miejscach gałęzie zupełnie były oddarte od pnia. Antoni Vyne rzucił badawczym okiem na czarną ziemię, w której rosły krzaki. Wyraźnie odznaczały się tu ślady podkutych butów. Zostawiwszy dziewczynę i Franka Cunninghama na gazonie, jedynie w towarzystwie Darrela ostrożnie torował sobie drogę przez gęstwiny, unikając starannie zdeptania śladów. Dążąc za wskazówką połamanych gałązek doszli do miejsca, gdzie cały krzak zgnieciony był jakimś ciężarem, a zielone liście obficie skropione krwią. Reporter pochylony bacznie przyglądał się zniszczonym roślinom i ziemi, na której rosły.

- Jeżeli nie popełniam kapitalnej omyłki, Jack - szepnął cicho, prostując się - to tu jest miejsce, gdzie naprawdę zabity został Travis.

Darrel zdumiony spojrzał na przyjaciela.

- Naprawdę zabity? - powtórzył jak echo. - Więc nie wierzysz, że zastrzelono go na okólniku Home Covert?

Antoni potrząsnął głową.

- Pewien jestem, że nie, mój stary - odrzekł. - Oglądałem jego buty, pamiętasz, i znalazłem na podeszwach przylepione źdźbła świeżo strzyżonej trawy. W sąsiedztwie Home Covert nie ma żadnego strzyżonego gazonu. Tak, skłonny jestem uwierzyć, że już po śmierci przeniesiono ciało w to miejsce, gdzie zostało odkryte.

- Ale dlaczego, Tony? - dopytywał się przyjaciel. - Po co?

- Tego jeszcze nie wiem - odpowiedział reporter i dalej szukał czegoś wśród gęsto zasadzonych krzaków, rzucając oczami to tu, to tam.

Nagły okrzyk Darrela zwrócił jego uwagę.

Zatrzymał on się, schylił i właśnie wygrzebywał coś palcami z ziemi.

- Co tam znalazłeś? - zapytał zaraz Antoni.

- To - odrzekł Darrel i podał mu małą mosiężną rurkę.

Vyne przyjrzał się wystrzelonemu naboju i kiwnął głową z namysłem.

- Automatyk trzydzieści pięć - zauważył półgłosem. - Poznałem już po ranie, że kulka, która zabiła Trávisa, była niklowana. Chodźmy dalej. Może jeszcze coś się znajdzie.

Wolniutko posuwali się naprzód, dokładnie badając każdą piędź ziemi pod nogami. Od złamanego krzaku szereg śladów wiódł pomiędzy sosny. Vyne ukląkł na jedno kolano i przyglądał się z bliska odciskowi nogi wyraźniejszemu od innych.

- Nie ma cienia wątpliwości, że to są ślady Trávisa, co potwierdza moją teorię, że zbrodnię istotnie popełniono tutaj. Widzisz, że część podeszwy odpadała zostawiając charakterystyczny znak. Zgadza się to dokładnie ze stanem podeszwy jednego z butów, które miał na nogach leśniczy.

Wstał z kolan i, podnosząc się, dostrzegł nagle przedmiot ukryty o parę kroków dalej, pod krzakiem.

Podszedł, podniósł go, obracając w rękach, podczas gdy osobliwy uśmieszek wybiegł mu na usta. Darrel przysunął się doń i patrzył również na znaleziony przedmiot, który przyjaciel trzymał w ręku. Był to wielki, automatyczny pistolet numer 35. Antoni otworzył go i sprawdził zawartość magazynu. Tylko jeden nabój był wystrzelony. W tej samej chwili Darrel dostrzegł jakieś litery wyskrobane na rękojeści. Zwrócił uwagę towarzysza i Vyne przyjrzał im się uważnie. Były to litery O. L., bardzo nieumiejętnie wyrżnięte.

- Owen Langley - szepnął cicho Antoni.

- Wielkie nieba! - zdumiał się jego przyjaciel, gdyż zaświtała mu nagła myśl: - Przecież to niemożliwe, żeby sir Owen zabił Trávisa?

Vyne nic nie powiedział i dalej wpatrywał się uważnie w pistolet, marszcząc czoło. Nagle zbudził się z zamyślenia, włożył broń do kieszeni i ciągnął dalej poszukiwania w krzakach. Nic już jednak nie znaleźli i wkrótce powrócili tam, gdzie stał Cunningham z panną Langley.

- Czy odkrył pan co, panie Vyne? - spytała ciekawie, gdy reporter z

Darrelem zbliżyli się do nich.

Antoni sięgnął do kieszeni i pokazał pistolet.

- Czy poznaje go pani? - zapytał.

Paulina popatrzyła i starała się ukryć drżenie ogarniające ją na widok tej broni.

- Naturalnie - rzekła wreszcie. - Należy do tatusia. Znajdzie pan jego litery na rękojeści. Gdzie pan to znalazł?

Vyne opowiedział jej pokrótce, nie wspominając jednak o odkrytych śladach leśniczego.

- Tatuś musiał go wziąć ze sobą, kiedy wybiegł dziś w nocy - zauważyła.

- Panie Vyne, jak panu się zdaje, co go też mogło spotkać?

Antoni popatrzył na nią poważnie.

- Doprawdy nic jeszcze nie mogę powiedzieć odrzekł - ale nie sędzę, żeby pani miała powód do obaw. Nie zdaje mi się, żeby sir Owen był w niebezpieczeństwie.

Zawrócili i wszyscy czworo wolno szli przez trawnik ku domowi. Cunningham zaczął iść obok dziewczyny, ale stopniowo zwalniał kroku i zbliżył się do Antoniego, który pozostał nieco w tyle. Podczas gdy Jack Darrel rozmawiał z Pauliną, co odwracało chwilowo jej uwagę, dotknął on ramienia reportera i nachylił się ku niemu.

- Zaraz idę do domu, panie Vyne - szepnął. - Pragnąłbym, żeby mnie pan zechciał odprowadzić kawałek do wsi. Mam panu coś do powiedzenia.

Antoni rzucił okiem na pochyloną ku sobie, zmienioną twarz i kiwnął głową.

W tej chwili panna Langley skończyła rozmowę z Darrelem i zwróciła się ku nim.

- Zostaniesz przecież na lunchu, Franku? - spytała, gdy dochodzili do domu.

Cunningham potrząsnął głową.

- Nie, kochanie, wybacz, ale nie mogę - odrzekł. - Mam parę rzeczy do załatwienia, ale przyjdę dziś jeszcze raz trochę później - dodał, widząc zawód w jej oczach.

- Odprowadzę pana kawalek - zaproponował Vyne. - O której będzie lunch?

Paulina spojrzała na mały złoty zegarek na ręce.

- Za jakieś pół godziny - rzekła. - Proszę się nie spóźnić.

- Nie spóźnij się, stary - dodał Darrel. Mam już teraz apetyt za trzech!

- Niechże mu pani nie pozwoli zbliżyć się do kuchni - radził z uśmiechem Antoni - bo nic by dla nas nie zostawił.

Cunningham pożegnał się z panną i w chwilę potem obaj poszli wąską polną drożyną ku wsi. Parę minut szli w milczeniu, które wreszcie przerwał Cunningham.

- Panie Vyne - rzekł, zatrzymując się - mam nadzieję, że to, co panu powiem, zostanie ściśle między nami.

- Obawiam się, że nie mogę panu dać takiego przyrzeczenia. Jeżeli ma to jakikolwiek związek ze śmiercią Trávisa i mogłoby dopomóc do odnalezienia zbrodniarza, będzie moim prostym obowiązkiem oddać każdą wiadomość do dyspozycji policji.

Młody człowiek milczał i jasne było dla Vyne'a, że w myśli rozważa jego słowa i waha się, jak należy postąpić. Po chwili mówił dalej: - Ma się rozumieć, że pan ma rację, ja jednak muszę tego się pozbyć, a pan postąpi, jak sam będzie uważał. Jak pan sądzi, kto zabił Trávisa? - Ostatnie zdanie wyrzucił z nagłą determinacją, a zanim Antoni zdążył odpowiedzieć, szybko ciągnął dalej: - Wziął mnie pan pewno za wariata, gdy się tak głupio zachowałem na widok tego złotego fetysza, ale to był dla mnie niesłychany szok! Bo, widzi pan, znam ten brelok i wiem, do kogo należy.

Vyne spojrzał się na rozpaloną twarz Cunninghama z iskierką zaciekawienia w oczach: - Czyżże jest? - zapytał.

- Sir Owena - odparł szybko młody człowiek.

- Może pan sobie wyobrazić, jak się przeraziłem, gdy się dowiedziałem, że znalazł się w ręku zamordowanego. W Bogu mam tylko nadzieję, że się mylę, ale wszystko zdaje się wskazywać na fakt, że to sir Owen zabił Trávisa. Na mój rozum, to jest właśnie przyczyna jego zniknięcia. I jeszcze ten pistolet, który był jego własnością! Prawda, że nie został on znaleziony na miejscu zbrodni, ale łatwo mógł go później wyrzucić, a gdyby nie pan, nikt by go pewno nigdy nie znalazł. Jeżeli okaże się, że posądzenie moje jest słuszne, to będzie straszny cios dla Pauliny, gorszy od wszystkiego, co mogłoby ją spotkać!

Antoni milczał parę minut, zanim odpowiedział.

Wreszcie rzekł spokojnie: - Zdaje mi się, że sir Owen w chwili zniknięcia miał na sobie tylko pidżamę i szlafrok, prawda?

Cunningham patrzył na niego bezmyślnie.

- Nie rozumiem, o co chodzi - rzekł. - Wcale się pan nie myli, ale co to ma wspólnego z tym, o czym mówimy?

- Czyż nie uderza to pana - odparł Antoni - że człowiek tak ubrany nie miewa zwykle na sobie żadnej biżuterii?

Młody człowiek zatrzymał się i twarz wypogodziła mu się momentalnie.

- Na Boga! ma pan rację - wykrzyknął. - A to ze mnie idiota, żeby o tym nie pomyśleć. A więc to nie sir Owen!

- Czekaj pan - przerwał Vyne. - Nie mówię wcale, że dla tej przyczyny sir Owen nie mógł zabić Trávisa. Wskazuję panu tylko, że podstawa, na której pan buduje swe posądzenie, nie jest dostateczna.

Cunningham zaczął znów iść wolnym krokiem z nieruchomą twarzą.

- A więc myśli pan, że to on go zabił? - spytał ponuro.

Antoni potrząsnął głową z lekkim uśmiechem.

- Chwilowo nic jeszcze nie myślę - odpowiedział - ale dlaczego panna Langley nie poznała tego talizmanu, jeżeli należy do jej ojca? - ciągnął dalej po krótkiej pauzie.

- Mogła go nigdy nie widzieć - rzekł Cunningham - a mogła też zapomnieć, jeśli widziała.

Leżał kiedyś otwarty na biurku sir Owena w bibliotece, a ona rzadko tam chodzi.

- Więc nie nosił go stale na sobie? - spytał Vyne.

- O ile wiem, to nigdy - odrzekł Cunningham.

- Ciekaw jestem, czy tylko chodzi o ten sam brelok? - rozważał reporter. - To dosyć pospolity model, każdy mason ma taki.

- O, jestem najpewniejszy, że ten sam - rzekł młody człowiek z przekonaniem. - Poznałem go po resztkę łańcuszka, na którym musiał wisieć. Co do tego nie można się omylić. Może pan zauważył osobliwy rysunek tych ogniwek, jak czteroramienne gwiazdki.

Vyne zauważył je już przedtem. Zdawało się, że nie może być już wątpliwości, że fetysz należał do sir Owena Langleya.

Doszli właśnie do skrzyżowania dróg i tu Frank Cunningham się zatrzymał.

- Jeżeli nie chce pan się spóźnić na lunch, wracaj pan już lepiej, panie Vyne - rzekł, spoglądając na zegarek. - Myślę, że stąd akurat pan zdąży. Ja mieszkam w tej stronie - wskazał na prawą z rozstajnych dróg. - Uprzejmie to z pana strony, że wysłuchał pan moich bzdur, ale mogę pana zapewnić, że mnie to strasznie nękało, a choć jeszcze mi daleko do uspokojenia, sto razy lepiej się czuję, odkąd się tym z panem podzieliłem. Ciężar spadł mi z piersi. Myślę, że zobaczymy się po południu?

Uścisnął wesoło rękę Antoniego i rozstali się.

Reporter sięgnął do kieszeni po papierośnicę, wybrał i zapalił papierosa i wolno wracał ścieżką wśród zieloności, zastanawiając się nad głównymi punktami sprawy, której się tu podjął. Czy to możliwe, żeby śmierć leśniczego nastąpiła z ręki sir Owena? I czy dlatego właśnie zniknął? W takim razie czyjeż ciało widziała Paulina leżące na gazonie i owinięte w szlafrok ojca? A co mogła

znaczyć tajemnicza czarna postać, o której Paulina twierdziła z taką pewnością, że pochylała się nad jej ojcem? Poza tym było jeszcze opowiadanie ogrodnika. Podobno Travis widział już to samo zjawisko na jakieś trzy dni przed śmiercią. Z całą pewnością więc nie było ono wytworem imaginacji dziewczyny. A oprócz tego - skarb! Czy był to tylko poboczny epizod, nie mający związku z główną sprawą, czy też miał on należne sobie miejsce w szeregu wypadków?

Według opowiadania Pauliny, sir Owen brał zupełnie na serio tę legendę o skarbie i Czarnym Garbusie, a nawet udało mu się odnaleźć nie przewodnią do poszukiwań miejsca, gdzie ukryto złoto.

I właśnie od tej chwili zaczęła się cała seria wypadków.

Czy był to prosty zbieg okoliczności? Vyne skłonny był przypuszczać, że nie. Cała sprawa wygląda na skomplikowaną łamigłówkę. Nawet nie był pewien, czy ma już w ręku wszystkie składowe części tego „puzzla”.

Zatrzymał się z lekkim okrzykiem zniecierpliwienia, rzucił niedopałek papierosa i zapalił drugi. W tej samej chwili rozległ się suchy trzask za zasłoną krzaków ciągnącą się wzdłuż prawej strony drogi i Antoni Vyne odskoczył instynktownie, gdy kula, świszcząc, przeleciała koło jego głowy i z głuchym stukiem utkwiała w pobliskim pniu drzewa.

V. Krzyk w nocy.

Po strzale ucichło wszystko prócz zwykłych wiejskich odgłosów. Od strony, z której padł strzał, wznosił się koło drogi wał kamienny na kilka stóp wysoki, a ponad nim ogrodzenie z drutu. Poza tym ogrodzeniem był gęsty las, którego gałęzie zwieszały się nad drogą. Antoni Vyne błyskawicznie zrozumiał, że jeśli pójdzie tuż pod wałem, uniemożliwi tym nieznanemu złoczyńcy dalszy napad.

Na razie chciał się wdrapać na wał, by rozpoznać osobę napastnika, ale chwila rozwagi wskazała mu, że postąpiłby dziecinnie.

Przede wszystkim sam wystawiłby się na cel dalszych strzałów, a poza tym niemożliwe byłoby ścigać kogoś w tej leśnej gęstwinie.

Zadowolili się więc usunięciem z orbity strzału i pospiesznie wracał ku Langley Towers. Kulka, o ile mógł sobie zdać sprawę z odgłosu, uderzyła w pień drzewa po przeciwnej stronie drogi, blisko ziemi, a to w związku z faktem, że poziom lasu był o jakieś osiem stóp wyższy od poziomowi drogi, co doprowadziło reportera do konkluzji, że strzał musiał być dany z bardzo wysoka. Może nawet ten strzelec, kimkolwiek on był, wdrapał się na drzewo. Co do jego osoby nie mógł się Vyne zdobyć na żadne przypuszczenie, cała rzecz była tajemnicza i niepojęta, jedno w niej tylko było pewne: komuś chodziło o to bardzo, żeby przerwać jego dochodzenia co do zniknięcia sir Owena Langleya i morderstwa leśniczego. Ale teraz Vyne miał się już na baczności i przyrzekł sobie uroczyście, że na przyszłość nie zaśni sprawy. O mały włos nie udało się tajemniczemu napastnikowi dokonać dziś nowej zbrodni, bo atak jego był najzupełniej niespodziewany.

Jednakże nie tylko nie powiodło mu się zabić Vyne'a, a l e pokazał już kitę. Antoni wierzył zresztą w przysłowie, że strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Nic się już nie zdarzyło w czasie powrotnego spaceru do Langley Towers. Tylko spóźnił się pięć minut na lunch, wskutek czego Darrel aż zaniemówił z oburzenia.

- To się nie godzi! - skarżył się tłuścioch odzyskawszy głos. - O mało nie zemdlałem z głodu, a ty wracasz sobie spacerowym krokiem, jakby godziny jedzenia wcale nie istniały.

- Oczekiwanie daje nam połowę radości życia - odrzekł z uśmiechem Vyne.

- Mogłeś zastosować to do siebie i przyjść pięć minut za wcześnie, a nie za późno - odparł Jack atakując pełen talerz zupy.

Antoni nie wspomniał w czasie lunchu o swej przygodzie, utrzymując wciąż rozmowę na lekkim i zajmującym poziomie i unikając tematów odnośnych do sprawy, którą wszyscy mieli na myśli. Panna Langley, choć daleka od zwykłej pogody ducha, odzyskała jednak trochę swobody, więc

posiłek odbył się w miłym nastroju.

Po lunchu Paulina wymówiła się obowiązkami pani domu, a Vyne i Darrel pozostali sami. Reporter zaproponował przechadzkę po parku, na którą jego przyjaciel zgodził się dosyć niechętnie, i wkrótce znaleźli się obaj wśród wspaniałego zapachu i cudnej symfoni barw różanego ogrodu. Antoni opowiedział swą rozmowę z Frankiem Cunninghamem, a zakończył relacją własnej przygody w drodze do domu.

- Ależ - krzyknął Jack z oczami świecącymi zaciekawieniem - zdaje się, że ktoś wywiera zemstę i na tobie!

- Zdaje się - potwierdził Antoni. - Cała sprawa jest niesłychanie ciekawa.

- Czy myślisz, że podejrzenia Cunninghama są słuszne? - spytał Darrel - i że to sir Owen zabił Trávisa?

- Jeżeli mam być szczery - odpowiedział Antoni - to sam nie wiem, co przypuszczać. Jestem taki sam ciemny jak i ty. Ale przyjmując za pewność, że sir Owen uśmiercił leśniczego, powiedz mi, jaki mógł mieć powód, żeby go zabijać? Zresztą nie tłumaczy to nam jeszcze obecności drugiej osoby, tej niesamowitej postaci karła, którą panna Langley przysięga, że widziała schyloną nad ojcem na trawie, a którą przedtem widział także Travis, ani tego interesującego osobnika, który starał się kulką przedziurawić mi głowę tam na drodze.

- Chyba, że to też był sir Owen - spokojnie skonstatował przyjaciel.

Vyne rzucił mu nagle szybkie spojrzenie.

- Czy takie jest twoje rzeczywiste mniemanie? - spytał.

- Wnioskując z tego - rzekł Darrel - że sir Owen interesował się tą legendą o Czarnym Garbusie, może miał jakiś powód, żeby pragnąć uzyskać swobodę ruchów w nocy, tak żeby nie być poznany.

Cóż łatwiejszego, jak wpaść na myśl przebrania się za ducha swego rodu? Gdyby nawet ktokolwiek go zobaczył, zanadto by się wystraszył, żeby dokładnie sprawdzać jego tożsamość. A teraz, przypuśćmy, że podczas jednej ze

swych wycieczek został poznany przez Trávisa i zastrzelił go w obawie, że cała maskarada się wyda.

- To czemuż by potem sam się ukrywał? - spytał Antoni, gdy Darrel przerwał, chwytając oddech.

- Przecież jego osoba nie łączy się w niczym ze śmiercią leśniczego.

- Po prostu wystraszył się - odrzekł, nie namyślając się, Darrel. - Może Trávisa zabił pod wrażeniem chwili i bał się potem stawić czoło następstwom.

Antoni wolno potrząsnął głową.

- Obawiam się, mój stary, że tu ponosi cię już wyobraźnia - rzekł. - Zapominasz, że panna Langley widziała postać Czarnego Garbusa, jak zbliżał się przez gazon ku domowi, przedtem nim usłyszała otwieranie drzwi w sypialni ojca. Nie zapominaj też o najważniejszym punkcie, to jest, że usłyszała ona dwa strzały, nie jeden. Nie, Jack, mnie się zdaje, że rozwiązanie tej sprawy będzie o wiele subtelniejsze i bardziej skomplikowane, niż możemy przypuszczać.

Darrel z zaciekawieniem patrzył na przyjaciela.

Coś w dźwięku głosu reportera nasunęło mu myśl, że ten wie już, lub zgaduje więcej, niż mówi. Nie wypowiedział jednak swego spostrzeżenia, a Antoni milczał i pogrążył się w zamyśleniu, którego nie przerwał już do ukończenia przechadzki po rosarium i powrotu do domu. Wtedy dopiero odezwał się, jakby reasumując głośno swoje myśli.

- Na twoim miejscu, Jack - mówił cicho - postarałbym się, o ile można, przespać się trochę dziś po południu. Mam pewne podstawy, by sądzić, że cała sprawa rozwinie się dziś w nocy. Trzeba, żebyś był wypoczęty.

- A cóż ma się stać dziś w nocy? - spytał tłuścioch z ożywieniem.

- Tego nie wiem - szczerze odrzekł Antoni - ale mam wrażenie (jeśli chcesz, nazwij to intuicją), że Czarny Garbus znów się tej nocy ukáže, a co do mnie, za nic nie ominę okazji ujrzenia go.

W tej chwili z domu wyszedł służący, najwidoczniej w celu szukania ich, bo gdy spostrzegł Antoniego Vyne'a, szybko przybiegł w ich stronę.

- Telefonuje inspektor Halam, proszę pana - oznajmił, gdy zrównał się z nimi.

- Zaraz idę - rzekł Vyne i pobiegł za lokajem, a za nimi Darrel.

Telefon umieszczony był w Langley Towers w przestronnym halu i w parę minut potem Antoni słuchał już grubego głosu detektywa Halama.

- To pan, panie Vyne? Tak długo nie mogłem się połączyć. Dzwoniłem parę razy do pańskiego mieszkania i dopiero Frost powiedział mi, gdzie pana szukać.

- O co chodzi, Halam? - spytał Antoni, gdy umilkł głos detektywa.

- O Northa - brzmiała krótka odpowiedź, wymówiona z akcentem goryczy. - Znikł nam najkompletniej; już od kilku dni go nie ma. Gdy, idąc za radą pana, poszliśmy go dziś aresztować, okazało się, że ptaszek zemknął.

- Ależ chyba musiał być pod nadzorem? - rzekł niedowierzająco reporter.

W słuchawce odezwało się zaambarasowane kasznięcie.

- Tak... właściwie nie... nie myślałem, że trzeba... widzi pan, mnie się zdawało, że wypadek starego Harpera, to po prostu samobójstwo; dopiero pan podsunął myśl o otruciu. To naturalnie nadało inny bieg całej sprawie... - znów nastąpiła pauza. - A teraz rzecz w tym, czy pan może coś pomóc?... - bo dostanę za to straszną burę od naczelnika.

- Co ja mogę pomóc? - chcesz pan, żebym odnalazł Northa?

- Gdyby pan zechciał pomóc go szukać, to byłbym strasznie wdzięczny, drogi panie Vyne - prosił Halam. - Naturalnie puściłem już w ruch cały aparat gończy - ale gdyby pan coś poradził...

- Dobrze stary druhu - rzekł Antoni - zrobię co będę mógł, ale chwilowo jestem dosyć zajęty.

Postaram się dojechać jutro do Yardu i zobaczyć się z panem.

Oddzwonił i położył słuchawkę.

- Co się stało? - spytał Darrel, który stał obok.

- Czego chciał stary Halam?

- North mu uciekł - odpowiedział przyjaciel i powtórzył telefoniczną rozmowę z detektywem. - Naturalnie, biedny Halam nic tu nie winien - ciągnął dalej. - Na Northa nie było ani cienia posądzenia, póki nie wpadłem na myśl, że w tej szklance mogła być trucizna. Okazało się, że tak było. Co do mnie, podejrzewałem go od samego początku, gdy tylko nabrałem przekonania, że to nie mogło być samobójstwo. Obecny fakt jego ucieczki jest wyraźnym dowodem winy. Jeżeli będzie możliwe, pojedę jutro do Londynu zobaczyć się z Halamem.

Sprawa, o której Antoni mówił, na razie wydawała się zupełnie prosta. Starego Jonathana Harpera, handlarza drogimi kamieniami, znaleziono zastrzelonego w jego mieszkaniu w Bloomsbury. Pistolet miał jeszcze w ręku i zdawało się, że to proste samobójstwo.

Dopiero Vyne, badając ten wypadek na rzecz Messengera, wykazał ostatecznie, że śmierć nie nastąpiła wskutek strzału, lecz od trucizny, a strzał dosięgnął go już po śmierci. North mieszkał wtedy u Harpera i zaraz po śmierci starego przeprowadził się na nowe mieszkanie, a stamtąd, według tego co mówił Halam, miał zniknąć. Widocznie zwąchał, że policja ma go na oku i zwiął.

Po telefonie pocziwego inspektora przyjaciele rozstali się; tłuścioch poszedł za radą Vyne'a i położył się w swoim pokoju, ale przeszło sporo czasu nim podniecony mózg pozwolił mu się zdrzemnąć. Wciąż powracał myślą do głównych punktów sprawy i szukał rozwiązania, w którym wszystkie fakty dałyby się rozmieścić.

Antoni, zostawiony własnemu przemyślowi, skierował się do biblioteki, gdzie po krótkich poszukiwaniach znalazł stary manuskrypt, zawierający szczegółowy opis ukrycia skarbu i legendę o Czarnym Garbusie, którą opowiadała mu Paulina. Reporter ślęczał nad nim przez resztę popołudnia i zainteresował się nadzwyczajnie tą historią. Pergamin zawierał kilka faktów, które dziewczyna pominęła w opowiadaniu, lub zapomniała o nich, choć nic nie dawało najłżejszej wskazówki co do miejsca, gdzie skarb ukryto.

Wprawdzie istniał odpis wierszydła, które miało wyjaśniać tajemnicę kryjówki, ale mimo że Antoni sporo czasu spędził, studiując te rymy, nie poczuł się mądrzejszym przy końcu swej pracy.

Gdy zbliżyła się pora podwieczorku, usłyszał głosy Pauliny i Franka Cunninghama rozmawiających na gazonie za domem i wtedy dopiero odłożył manuskrypt i przyłączył się do nich. Podano herbatę na tarasie, ale Darrel nie ukazywał się jakoś i służąca oznajmiła, że tego pana nie ma wcale w pokoju. Kończyli już podwieczorek, gdy się nareszcie zjawił i Vyne spostrzegł, że musi ukrywać jakąś ważną nowinę. W małych oczkach paliły się iskierki, które często widywał u przyjaciela w chwilach podniecenia. Darrel nie powiedział jednak nic, a Antoni również wstrzymał się od pytań i dopiero znacznie później, gdy przebierali się do obiadu, znalazł sposobność pomówienia sam na sam z Jackiem. Antoni wiązał właśnie krawat, gdy Jack wszedł do jego pokoju.

- Słuchaj - zawołał - mam ci coś powiedzieć!

Antoni starannie wygładzał muszkę pod brodą.

- Wiedziałem, że coś masz - rzekł z uśmiechem.

- Gadaj! co takiego?

Darrel przysiadł na brzegu łóżka, które zatrzeszczało pod jego ciężarem.

- Stary Hume, kamerdyner, wynosi komuś w sekrecie pożywienie - oznajmił.

Antoni Vyne odwrócił się nagle od lustra.

- Skąd wiesz? - zawołał żywo.

- Widziałem - odrzekł Darrel. - Po godzinnej drzemce obudziłem się i tak mnie kusilo wyjść na powietrze, że zdecydowałem się zrobić spacer przed herbatą. Zaszedłem do warzywnego ogródka za kuchnią. Można stamtąd dokładnie widzieć wewnątrz kuchni w suterynie, gdzie stale palą światło. W kuchni nie było nikogo, tylko sam kamerdyner, i nie byłbym się nim interesował, gdyby jego ruchy nie zwróciły mojej uwagi. Pakowałem różne wiktuały do koszyka, potem włożyłem tam jakieś dwie butelki i paczkę

papierosów. W trakcie tego ktoś ze służby wszedł do kuchni i Hume pośpiesznie ukrył koszyk pod stołem. Nie byłby tego robił, gdyby wszystko było w porządku.

Antoni przysłuchiwał się pilnie z błyskiem zadowolenia w oczach.

- To rzeczywiście dziwne, stary - zauważył cicho. - Musimy się dowiedzieć o przeznaczeniu tego koszyka.

- Popiera to moje mniemanie, że to sir Owen, co Tony? - rzekł Jack.

- Myślisz, że on żywi sir Owena? - spytał Antoni.

Jack skinął głową.

- Myślę, a ty?

Reporter zastanowił się chwilę zanim odpowiedział.

- W takim razie sir Owen musiałby zwierzyć się staremu?

- Czemuż by nie? - spytał Darrel. - Tacy dawni słudzy w starych rodach zazwyczaj są bardzo oddani swym panom i gotowi dla nich na wszystko. Nie sądzę, żeby pomysł mój był taki głupi.

- Ależ ma przecież córkę - rzekł Antoni. - Byłoby naturalniej, żeby jej się zwierzył, a nie służącemu, choćby ten był nie wiem jak zaufany.

Zresztą chyba zdaje sobie sprawę, jak bardzo się tu ona niepokoi o niego.

- Nie wiem, Tony - obstawał przy swoim Darrel. - Jeżeliby sir Owen zabił Trávisa, lub uczynił cokolwiek innego, co by mu przynosiło ujmę, może by nie chciał, żeby się córka o tym dowiedziała?

Antoni uśmiechnął się.

- Więc ty ciągle upierasz się przy swoim mniemaniu? - spytał.

- Nie widzę innego wyjścia - odrzekł Darrel - im więcej się zastanawiam, tym bardziej mi się zdaje, że prowodyrem całej akcji jest sir Owen. Ostatecznie panna Langley mogła mieć przywidzenie z tym cieniem, który się schylał nad ojcem. Światło księżyca powoduje czasem dziwne pomyłki, a poza tym jednym faktem teoria moja zgadza się z wszystkimi pozostałymi.

- Tylko nie wskazuje osoby, która strzelała do mnie - mruknął reporter.

- Ja myślę, że to był też sir Owen - rzekł Jack z uporem. - Jeżeli się nie mylę, musi on prowadzić jakąś zakulisową grę i naturalnie, że twoja przenikliwość bardzo mu przeszkadza; po prostu wziął go strach, żebyś nie odkrył prawdy.

- Może masz rację - rzekł Antoni, nakładając smoking. - Hipoteza twoja nie jest zła sama w sobie, ja osobiście sędzę jednak, że nie jest trafna. Jednego tylko trzeba dopilnować koniecznie: nie możemy pozwolić, żeby Hume wydalil się z domu z tym koszykiem. Trzeba iść za nim i do tego ty, stary, będziesz mi potrzebny. Jeżeli ma on zamiar dostawić go gdzieś sekretnie (a z twego opowiadania sędząc, nie ma co do tego żadnej wątpliwości) nie będzie tego za dnia próbował, bo narażałby się, że go zobaczą.

Podczas obiadu Antoni nie spuszczał z oka starego kamerdynera, choć Hume pełnił służbę zręcznie i cicho, w sposób dostępny tylko po wielu latach praktyki.

Reporter zauważył jednak w jego twarzy jakiś niespokojny skurcz, zdradzający we wewnętrzną ukrywaną rozterkę. Nie byłby tego może spostrzegł, gdyby go specjalnie nie obserwował. Młody Cunningham został na obiedzie, a potem wszyscy czworo przeszli do bilardowego pokoju i rozpoczęli tam partię. Paulina grała lepiej od większości kobiet i, z Antonim jako partnerem, z łatwością pokonała dwóch pozostałych. Grali, dopóki Cunningham nie wyraził intencji powrotu do domu. Po jego wyjściu, czas jakiś jeszcze rozmawiali w salonie. Darrel i panna Langley spierali się o zasady gry, a oczy Antoniego przenosiły się z jednego sprzętu na drugi w ładnym, gustownie urządzonej pokoju. Wreszcie zatrzymał wzrok na kominku. Między innymi drobiazgami stała na nim fotografia w srebrnej ramce - portret wybitnie pięknej kobiety, raczej dziewczęcia. Antoni pomyślał, że tak cudną twarz rzadko zdarza się widzieć. Staromodna suknia była dowodem, że zdjęcie robione było wiele lat temu.

Paulina zauważyła cel spojrzenia reportera.

- To pierwsza żona tatusia - rzekła w odpowiedzi na jego pytający wzrok.
- Prawda jaka musiała być cudna?

- Nie miałem pojęcia, że sir Owen dwa razy był żonaty - zauważył Antoni.

- Bardzo mało osób o tym wie - odrzekła dziewczyna - bo tatuś rzadko o tym mówi. Był bardzo młody, kiedy się pierwszy raz ożenił, a ona w rok potem umarła. Zdaje się, że nigdy jej nie mógł zapomnieć - dodała ze smutkiem - bo choć z moją matką był bardzo szczęśliwy, nie kochał jej nigdy tak, jak tamtą.

Wróciła do swej rozmowy z Darrelem, a Antoni siedział milczący, rozmyślając nad nowym faktem, o którym się dowiedział.

Wkrótce potem rozeszli się na noc, a gdy Vyne i Darrel weszli na piętro gdzie były ich pokoje, reporter trącił przyjaciela.

- Przebierz się - szepnął - i przychodź do mnie.

Jack skinął głową i poszedł spieszenie do siebie.

Antoni wszedł do swego pokoju i zapaliwszy papierosa, zaczął się powoli rozbierać. Włożył stary marynarkowy garnitur, na który wciągnął szlafrok, po czym otworzył neseser i zaczął w nim czegoś szukać. W parę sekund znalazł to, o co mu chodziło: zwitek czegoś, co wyglądało na cienki jedwabny sznur. Gdy go rozwinął, okazało się, że jest to misternie związana drabinka. Vyne rzadko bez niej wyruszał z domu i w niejednej potrzebie okazała się pożyteczna. Podeszedł do okna i otworzył je szeroko; gdy to czynił wszedł Darrel.

Tłuszcioch był już przebrany i widząc, jak Antoni przerzuca koniec drabinki za okno, bez słowa zaczął mu pomagać. Krzątając się w milczeniu, wkrótce umocowali stalowe haki, w które jeden koniec drabinki był zaopatrzony, do wewnętrznego parapetu i Vyne wypróbował je starannie. Wydały się dosyć mocne.

Gwizdnął cicho z zadowolenia i wychylił się za okno.

Była wspaniała księżycowa noc i z łatwością dojrzał koniec drabinki kołyszący się na jakieś dwie stopy nad ziemią. Szybko wciągnął ją do pokoju i

zwinął na parapecie.

- Oto łatwy sposób wydostania się na dwór - zauważył, spuszczaając roletę i odwracając się od okna.

Dotychczas nie zapalał wcale elektryczności, gdyż przebrał się przy księżycu, którego światło zalewało pokój. Dopiero teraz przekręcił wyłącznik.

- Zgasimy za parę minut, stary - rzekł. - Jeżeli kto patrzy, to będzie miał wrażenie, że poszliśmy spać, Nie przypuszczam, że nas ktoś specjalnie pilnuje; jeszcze za wcześnie. Zgasiłeś pewnie u siebie idąc tutaj?

Jack kiwnął głową.

- Właściwie, czego się spodziewasz? - zapytał.

- Nie mam zielonego pojęcia - odrzekł Antoni - ale zdziwię się, jeśli ta noc minie bez urozmaicenia.

Lepiej nie rozmawiajmy teraz. W tych starych murach głos ogromnie niesie, a nie chcę, żeby ktokolwiek domyślił się, że czuwamy.

Darrel pogрузzył się w milczeniu, a po chwili Antoni dał mu znak, żeby zgasił światło. Uczynił to, a reporter podniósł wtedy ostrożnie roletę, przysunął sobie fotel do otwartego okna i ulokował się wygodnie na poduszkach.

- Na twoim miejscu położyłbym się - radził szeptem. - Zawołam cię, jak tylko się co pokaże.

Darrel, choć niechętnie, usłuchał, a reporter siedział nieruchomo z oczami zwróconymi na ogród zalany srebrnym światłem. Lekki wietrzyk, który podniósł się o zachodzie, odświeżył powietrze, przynosząc rozkoszny zapach z rosarium. Wszystko dokoła oddychało spokojem i ciszą. Po chwili, ciężkie sapanie od strony łóżka zdradziło Antoniemu, że Darrel już usnął. Reporter uśmiechnął się pocziwie.

Na wielkim zegarze w halu wybiła dwunasta, potem pierwsza, a nic nie przerwało nocnej ciszy.

Antoni musiał sam zapaść w lekką drzemkę, bo uderzenie drugiej zbudziło go nagle. Poprawił się w fotelu, a w tejże chwili w milczącym

domostwie zabrzmiał okropny krzyk.

- Ratunku! ratunku! - wołał kobiecy głos. - Panie Vyne! ratunku! pomocy!
Głos ten był głosem Pauliny Langley.

VI. Szalas w lesie.

Antoni skoczył jak rażony piorunem i pchnąwszy drzwi wyleciał pędem na ciemny korytarz. Natychmiast przekręcił wyłącznik, którego położenie zapamiętał przed pójściem do pokoju i zajaśniało światło. Na samym końcu korytarza, ale na tym samym piętrze, znajdował się pokój Pauliny i Vyne, jak strzała, dopadł jej drzwi.

Spróbował klamki - pokój zamknięty był od wewnątrz! Nie tracąc chwili, wymierzył zamaszyste kopnięcie na płask stopą tuż powyżej zamka i drzwi rozwarły się z trzaskiem pękających desek. Ręką namacał na ścianie wyłącznik i zapalił światło.

Dziewczyna siedziała w łóżku z oczami wytrzeszczonymi zgrozą i dłońmi obejmowała sobie gardło.

- Co się stało? - krzyknął Antoni. - Dlaczego pani tak krzyczała?

Trzymając się wciąż jedną ręką za gardło, drugą wskazała na okno. Było szeroko otwarte i reporter mógł dojrzeć szczyt drabiny opartej o nie z zewnątrz.

Skoczył i wychylił się oknem. Przez gazon biegła w księżycowym świetle jakaś postać, bezkształtna figura krępego karła w czerni. Dreszcz wstrząsnął Antonim, gdy na własne oczy ujrzał Czarnego Garbusa. Bez wahania przerzucił nogi przez parapet i zaczął spuszczać się po drabinie. Biegący stwór zbliżał się już do cienia krzaków. Vyne, zesuując się w pośpiechu po boku drabiny, stanął na ziemi i rzucił się w pogoń. Spod krzaków zabrzmiał huk strzału i kulka ze świstem przeleciała koło jego ucha. Usłyszał jak owa istota zaczęła się z trzaskiem przedzierać przez gęstwiny.

Ręką szukał w kieszeni rewolweru i z uczuciem przykrego zawodu przekonał się, że zostawił go na toalecie w sypialni. Nieposkromiony tą świadomością biegł dalej. Trzask łamanych gałęzi ustał i było znów zupełnie

cicho. Vyne dobiegł do krzaków i zatrzymał się, nasłuchując. Ostrożnie, bo nie miał chęci bez potrzeby wystawiać się na ogień nieznanego napastnika, zrzuciwszy szlafrok, zaczął przeciskać się wśród gęstwiny w tym samym miejscu, gdzie widział znikającą dziwną postać. Przejście jej wyraźnie znaczyły połamane i poodrywane gałęzie. Vyne szedł za tym śladem, aż wy dostał się na małą polankę, w której środku stał olbrzymi stuletni dąb; ale tu kończyły się wszelkie znaki wędrówki nocnego gościa. Z uczuciem żalu zawrócił Antoni tą samą drogą. Nie było celu ścigać dalej napastnika, a tym bardziej bez broni wystawiać się samemu na jego strzały. Podniósł porzucony szlafrok i wolno szedł ku domowi. Krzyki i strzał zbudziły już resztę domowników i Vyne wszedł bocznym wejściem, które otworzył mu Hume. Ze zdziwieniem zauważył, że starzec był najkompletniej ubrany. Reporter wbiegł pośpiesznie do sypialni Pauliny, gdzie zastał Darrela i gospodynię, panią Wakefield. Gdy wchodził trzeźwiła ona jeszcze panienkę solami.

- Co się właściwie stało, proszę pani? - spytał podchodząc do łóżka.

Dziewczyna drżącą ręką odgarnęła włosy z czoła.

- Ach! to było okropne! - rzekła słabym, drżącym głosem. - Jeszcze nigdy w życiu tak się nie wystraszyłam! Gdyby pan widział to wstrętne stworzenie! bez twarzy!! - wzdrygnęła się i urwała, a poczciwa stara gospodyni zaczęła ją pieścić i uspokajać.

- Położywszy się, usnęłam prawie natychmiast - ciągnęła dalej - i potem nagle poczułam, że nie mam czym oddychać i obudziłam się. Nade mną stał pochylony jakiś wstrętny, bezkształtny karzeł i przyciskał mi coś mokrego do ust i nosa. Wyrwałam mu to z ręki i zaczęłam wołać na pana, a on rzucił się do okna i wyskoczył.

- Oto co znalazłem koło łóżka - przerwał Darrel, podając biały przedmiot.

Antoni Vyne wyciągnął rękę i odebrał od przyjaciela wielki kłęb waty, z którego rozchodziła się woń, przypominająca zgniłe jabłka.

- Tak, chloroform - mruknął cicho reporter.

- Czy widziałeś co? - spytał go Darrel ciekawie.

Vyne skinął głową.

- Widziałem tego gościa, kimkolwiek on jest - odrzekł - o mało go też nie poczułem. Już drugi raz o mały włos nie trafił mnie kulką. A tym razem tak blisko przeszła, że nie było to miłe.

- Co to wszystko ma znaczyć, panie Vyne? - spytała przerażona dziewczyna.

- Tego właśnie muszę koniecznie dociec - rzekł cierpko Antoni. - Zaczyna mnie nachodzić jakieś mgliste przeczucie... Radziłbym teraz, pani droga, żeby pani starała się usnąć. Tej nocy nie potrzebuje się pani niczego obawiać, ale dla spokoju niech lepiej pani Wakefield zostanie tu z panią do rana. Chodź, stary - dodał zwracając się do Darrela - my też spróbujmy wypocząć trochę, bo jutro czeka nas ciężki dzień.

Przeszli korytarzem do swoich pokojów.

- Co ty o tym myślisz, Antoni? - spytał grubas, gdy stanęli każdy przy swoich drzwiach.

- Myślę, że to zupełnie obaliło twoją hipotezę, że na dnie zagadki znajduje się sir Owen, prawda? - wymijająco odpowiedział Vyne - bo chyba niemożliwe, żeby to on próbował zachloroformować własną córkę.

- Tak, to zdaje się nie ulegać kwestii - zgodził się Jack - ale któż to był i jaki motyw nim rządzi?

- Dość pytań na teraz - odpowiedział Antoni, otwierając drzwi. - Idę do łóżka.

Ale nie zrobił tego. Zwinięty w kłębek w wielkim fotelu, z papierosem w zębach i zapasowymi w pudełku pod ręką, palił i rozmyślał do rana. A gdy słońce złocistym blaskiem zalało pokój, wstał i poszedł się kąpać.

* * *

Antoni zjadł wcześniej śniadanie, zupełnie sam.

Nocne przejścia i niemożność zaśnięcia po nich wyczerpały Paulinę, więc

leżała dłużej i tylko przysłała do reportera panią Wakefield, żeby wytłumaczyć swą nieobecność. Vyne nie zmartwił się tym wcale, bo samotny posiłek był sposobnością do dalszego ciągu myśli, które kłębiły mu się pod czaszką.

Tajemniczy napad na dziewczynę był zupełnie niespodziewany. Liczył on wprawdzie w nocy na ukazanie się Czarnego Garbusa, ale forma tej wizyty zupełnie zbiła go z tropu. Jaki mógł być powód do napaści na pannę Langley? Jasnym było, że chodzi tu o uprowadzenie jej, czego dowodem był tampon nasączony chloroformem, ale wysilając mózg na wszelkie sposoby, nie mógł Antoni wykombinować żadnej dopuszczalnej przyczyny. Cała sprawa, zaczawszy od zniknięcia sir Owena i zamordowania leśniczego, a kończąc na ostatnich wypadkach, okazywała się nie do rozwiązania. Reporter miał jednak podświadomą pewność, że jądro tego wszystkiego tkwi w ukrytym skarbie.

Był pewien, że nie sam zbieg okoliczności działał, iż cała ta awantura rozpoczęła się od chwili, gdy usłyszano, że sir Owen odkrył miejsce tajemniczej kryjówki. Chodzi teraz o to, kto prócz Pauliny mógł o tym słyszeć? Vyne postanowił wywiedzieć się przez Darrela. Prawdopodobnie wiedzieli o tym wszyscy domownicy, bo nie robiono z tego sekretu, że sir Owen od lat pracował nad rozwiązaniem zagadki zostawionej przez sir Hugona Lang-Lee.

Reporter skończył śniadanie i zaciągał się właśnie pierwszym haustem dymu z papierosa, gdy ukazał się Darrel.

- Dzień dobry - rzekł wesoło tłścioch, siadając do stołu. - Mam nadzieję, że nie pożarłeś jeszcze wszystkiego, bo sam łaknę pożywienia jak głodomór z cyrku, po przedstawieniu.

Antoni uśmiechnął się.

- Zdaje się, mój stary, że to twój stan chroniczny, ale zostawiłem ci tam na bufecie dość jedzenia, żeby ci głód choć z godzinę nie szarpał wnętrza.

Darrel ochoczo pochwycił talerz i napełnił go po brzegi boczkiem i cynaderkami z półmiska ustawionego na elektrycznej płycie na bufecie.

- Jakiż program na dziś? - spytał, wracając do stołu i rozpoczynając

śniadanie.

- Jadę zaraz do Londynu zobaczyć się z Halamem - odrzekł Antoni - więc pozostawiam cię własnemu przemysłowi. O ile możesz, strzeż się sam wypadku i pilnuj dobrze Hume'a. Chodzi mi specjalnie o to, żebyś zbadał przeznaczenie tego koszyka z wiktuałami. Jestem zupełnie pewien, że dotychczas nie udało mu się go wynieść; zdaje się, że miał zamiar zrobić to dziś w nocy, ale przeszkodził mu tajemniczy napad. Teraz, gdy tylko się przekona, że nie ma żadnej przeszkody, będzie się na pewno próbował zmów wymknąć i już twoja rzecz go przyłapać.

- Przypnę się do niego jak kleszcz - rzekł Jack, wstając, by przynieść sobie więcej tostów.

- Cokolwiek zrobisz, niech się nie spostrzeże, że jest śledzony - ostrzegał Vyne, rzucając niedopałek do popielniczki. - To by wszystko popsuło.

- Możesz mi zaufać - odparł Jack z ustami pełnymi wieprzowego boczku.
- O której wrócisz?

- Mam nadzieję, że zdążę na obiad - rzekł Antoni wstając. - Jeszcze jedno, chłopcze, postaraj się dowiedzieć od panny Langley, kto tu prócz niej wiedział, że ojcu jej udało się oznaczyć domniemane miejsce kryjówki skarbu.

Darrel żywo spojrzał na reportera, niosąc do ust kawałek tostu.

- Więc ty myślisz, że na dnie całej tajemnicy jest ten skarb? - spytał.

Antoni skinął głową.

- Jestem przekonany, że cała rzecz koło tego się obraca - odrzekł spokojnie. Spojrzał na zegarek. - Muszę już jechać, do widzenia, stary - zawołał.

- Uściskaj ode mnie starego Halama - krzyknął za nim Darrel wesoło.

Ale przed drzwiami Antoni przystanął raz jeszcze.

- Jeszcze jedno, zanim odjadę - rzekł poważnie - niech panna Langley pod żadnym pozorem nie wychodzi po zmierzchu. Rozumiesz? Pod żadnym, najprostszym nawet pozorem! Życie jej może od tego zależeć.

Z krótkim do widzenia wyszedł z jadalni, a Jack Darrel, zamyślony, dalej

spożywał dary Boże.

Skończywszy posiłek, wyszedł na przechadzkę do parku. Był cudowny ranek. W nocy już zerwał się chłodny, przyjemny wietrzyk, który w znacznej części łagodził żar słońca. Trudno było pogodzić w myśli ten słoneczny pejzaż, z rozkołysanymi gałęziami drzew i cudowną wonią i barwami kwiatów - z czarnym ponurym cieniem grozy, który coraz ściślej obejmował Langley Towers. Cała sprawa przy świetle dnia zdawała się dalszym ciągiem jakiejś przerażającej sennej mary i Darrel musiał wysilać wyobraźnię, by nie zapomnieć, że nocne wypadki były rzeczywistością.

Gdy szedł przez trawnik, zabrzmiał za nim wesoły powitalny okrzyk i zobaczył Franka Cunninghama, który kierował się w jego stronę.

Młody człowiek nie wiedział jeszcze nic o nocnych przejściach i z daleka wesoło wołał - dzień dobry!

- Nie spodziewałem się, żeby kto z was już wstał - zauważył, gdy razem szli przez zielony dywan gazonu - ale nie mogłem dziś wcale spać, tak mnie wytrzeźwiła ta piekielna zagadka. Dlatego przyszedłem tak rano, żeby się jak najprędzej dowiedzieć, czy nie nastąpiły jakie dalsze wypadki.

W przeciwieństwie do swego wesołego zachowania wyglądał on dziwnie ponuro, a pod oczami miał ciemne sińce. Poważnie przysłuchiwał się opowiadaniu o tym, co stało się w nocy.

- Ależ to się robi niesłychane! - zawołał, gdy Jack skończył. - Z jakiegoż powodu mogli chcieć porwać Paulinę? Co myśli o tym pan Vyne?

- Nigdy nie wiadomo, co Antoni myśli, póki sam nie uzna za stosowne powiedzieć - odrzekł Jack - a powie nam dopiero wtedy, gdy cały schemat przygotuje sobie w głowie. Nie cierpi nic mówić, póki się nie przekona, że hipotezy jego są zgodne z prawdą.

- Ale czyś pan pewny, że jej nic się me stało? - dopytywał się Cunningham.

- Nie było na to czasu - odparł. - Naturalnie doznała silnego wstrząsu

nerwów, ale po wypoczynku nie zostawi to śladu.

- Pójdę chyba i zobaczę się z panną Wakefield - rzekł Cunningham. - Dowiem się od niej, kiedy będzie można odwiedzić Paulinę. Do widzenia panu, zobaczymy się jeszcze.

Poszedł ku domowi, a Darrel spoglądał za jego wyniosłą postacią, sunącą przez trawnik. Na twarzy tłuściocha malowało się pewne zdziwienie.

Wyglądało to zupełnie tak, jakby Cunningham spodziewał się, że w nocy coś zaszło i tylko dlatego przyszedł. Na pewno nie spał on wcale, mówiły o tym czarne sińce pod oczami.

Ale myśli o Franku Cunninghamie ulotniły się nagle pod wpływem tego, co zobaczył. Z miejsca gdzie stał, przez długą lukę w gęstwinie rododendronów, otaczających wielki trawnik, mógł dojrzeć część kuchennego warzywnika i nagle zobaczył wychodzącego tamtędy starego kamerdynera, Hume'a.

Starzec ubrany był jak zazwyczaj, tylko na głowie miał miękki kapelusz i Darrela przebiegł dreszcz, gdy spostrzegł, że niesie on pod pachą dużą pakę owiniętą w brązowy papier. Czyż mogła ona zawierać wiktuały z koszyka, który tak starannie pakował dzień przedtem, tylko inaczej owinięte dla niepoznaki? Chyba starzec nie wynosiłby tej żywności z domu w biały dzień? Ale Darrel przypomniał sobie, że według Antoniego nocne wypadki i napaść na Paulinę nie pozwoliły Hume'owi wydalić się z domu. Dostarczenie gdzieś tej żywności było zapewne bardzo pilne i teraz korzystał z pierwszej chwili wolnej od obowiązków, żeby wyjść z domu.

Wybrał tę porę (było zaledwie wpół do ósmej), jako najbezpieczniejszą. W każdym razie Jack postanowił go śledzić. Hume szedł prędko i znikł mu już za krzakami, a Darrel pomyślał, że kieruje się on ku małej furtce na końcu warzywnika, która wychodziła na wąską drogę dążącą do głównej szosy. Ta ostatnia przecinała wieś.

Tłuścioch kłusem zbiegł do różanego ogrodu. Miał zamiar przemknąć się tędy na okólnik Home Covert.

Tam zaczynał się las dochodzący do drogi, którą musiał iść kamerdyner, była ona bowiem jedynym wyjściem z warzywnika, jeżeli nie chciało się przechodzić przez wielki gazon. W rosarium pracował wśród swych ukochanych róż stary Edwards, a Darrel, który znał już jego gadulstwo, szybko przemknął się drugą stroną, żeby go uniknąć. Wrota prowadzące na Home Covert były otwarte i wysunął się więc przez nie, biegnąc dalej między gęsto rosnącymi drzewami na skraj lasu.

Ukryty za grubym pniem drzewa, wyjrzał ostrożnie na wąską dróżkę. Stary kamerdyner minął już furtkę i był na połowie odległości do szosy. Jack Darrel poszedł za nim, trzymając się stale w cieniu drzew i starając się stąpać jak najostrożniej, i nie robić najmniejszego szmeru. Nie zaryzykował pójścia środkiem drogi; nie było tam żadnej osłony i gdyby starzec odwrócił głowę, dostrzegłby natychmiast, że jest śledzony.

Hume zdawał się wcale nie spieszyć; spacerowym krokiem zstępował po stromej pochyłości porosłej darnią ścieżki, raz po raz oglądając się na obie strony i poza siebie. Najwidoczniej chciał się upewnić, że nikt go nie śledzi.

Darrel śmiał się w duszy z jego czujności, posuwając się w jego ślady bezszelestnie jak cień, a mniej widzialny od cienia. Na skrzyżowaniu dróg Hume zatrzymał się chwilę, zdjął kapelusz i otarł pot z czoła, po czym zwrócił się szosą na prawo i powędrował ku wsi. Teraz nadeszła dla Darrela najtrudniejsza część wędrówki. Żeby dalej iść za kamerdynerem, musiał porzucić przyjazne schronienie, jakiego udzielał mu lasek, i wyjść na odkrytą szosę. Ta jej część, którą szedł Hume, nie ukazywała żadnej możliwej kryjówki.

Po obu stronach ciągnął się wzdłuż drogi pas trawy, poza którym na lewo był głęboki rów. Szosa biegła w nieomal prostej linii, obniżając się znacznie ku wsi. W oddali, na prawo, widniały lesiste pochyłości Chiltern Hills, ostro zarysowane w porannym słońcu.

- Trudno, muszę tak czy tak zaryzykować - mruknął Jack, wysuwając się z ukrycia na szosę. Mam nadzieję, że stary nie będzie się już oglądał.

Trzymał się zarośniętego pasa nad rowem i dobrze zrobił, bo przeszedłszy ze dwieście jardów, Hume zatrzymał się nagle i obejrzał. Darrel zaledwie miał czas zsunąć się do rowu i paść tam plackiem, by nie być spostrzeżonym.

- Fe! - otrząsnął się tłusciach cicho, gdy kamerdyner zaczął iść dalej, zlustrowawszy uważnie drogę za sobą - mam nadzieję, że tego nie będzie często robił! - Nim ruszył dalej, troskliwie usunął wielki i specjalnie bolesny cierń, który utkwiał w mięsistej anatomicznej części jego ciała. Jednakowoż Hume zdawał się zadowolony z inspekcji i pewny już, że nikt go nie widzi, bo więcej się nie oglądał, tylko przyśpieszył kroku. Tak szli jeden za drugim aż do pierwszych chałup, gdzie rozpoczynała się wieś.

Darrel puścił starego dobrego kawał przed sobą i spostrzegł ze złością, że ten wchodzi do wiejskiej apteki. Właściciel podnosił właśnie żaluzje i zamienił z kamerdynerem wesołe pozdrowienie. Darrel schował się za wielką kupą kamieni, skąd miał widok na szosę, stanowiącą jedyną ulicę wsi i czekał na dalsze poczynania starca. Aptekarz wszedł z nim do sklepu, a po paru minutach Hume ukazał się znowu z małą, owiniętą w papier paczuszką w ręku, prócz dużej brązowej, którą wciąż niósł pod pachą.

- Czy on aby nie poszedł po prostu po sprawunki? - pomyślał Jack. - Może zupełnie się omyliłem, sądząc, że paczka zawiera wiktuały z koszyka. - Okazało się to prawdopodobne, bo wychodząc z apteki, kamerdyner poszedł dalej ruchliwą wsią i zatrzymał się znowu przed urzędem pocztowym.

Widocznie jednak tylko pan aptekarz był takim rannym ptaszkiem; poczta nie była jeszcze otwarta. Hume zawrócił tą samą drogą, którą przyszedł. Darrel przykucnął za swoją kupą kamieni kiedy stary go mijał.

Był zły, bo czuł już na pewno, że tylko traci czas, śledząc starca. Przecież widoczne było, że kamerdyner zeszedł po prostu do wsi, żeby coś załatwić, może przynieść coś dla Pauliny. Chociaż pora była zupełnie nieodpowiednia na robienie sprawunków, mogła czegoś pilnie potrzebować z apteki. - Ale Darrela intrygowała wciąż brązowa paczka. Fakt, że Hume zatrzymał się przed pocztą,

zdawał się wskazywać, że miał ją zamiar wysłać.

- Wszystko razem wielki blamaż - pomyślał Darrel z obrzydzeniem, idąc znów szosą krok w krok za starym.

Aż tu nagle Hume zatrzymał się i Jack ponownie znalazł się na płask w rowie. Stary rozejrzał się ostrożnie na wszystkie strony i upewniwszy się, że nikt go nie śledzi i że droga jest najzupełniej pusta, znikł nagle w przerwie żywopłotu po lewej stronie szosy.

Darrel pracowicie wywindował się z rowu i nie spuszczać z oka miejsca, w którym Hume zniknął mu z szosy, przeszedł na drugą stronę i zbadał dziurę w żywopłocie. Była to wąska przerwa, wskutek zniszczenia cierniowych krzaków żywopłotu, poza którym ciągnęła się nieduża trójkątna łączka. Za nią był gęsty las, który dosięgał stoków Chiltern Hills. Patrząc przez lukę w żywopłocie, zobaczył, jak kamerdyner kieruje się przez łączkę wprost do tego lasu.

- Przypuszczam, że okaże się to tylko krótszą drogą do domu - pomyślał Jack pełen pesymizmu - jednak idę za nim!

Przeczekał aż Hume dotarł do pierwszych drzew i dopiero, gdy zobaczył go wchodzącego do lasu, odważył się, choć z trudnością, przecisnąć przez wąskie przejście w żywopłocie. Jeżeli stary teraz się odwróci, nic nie uratuje już Darrela przed wykryciem. Ale najwidoczniej Hume nic nie podejrzewał, bo nie oglądał się ani w prawo, ani w lewo, tylko szedł spieszenie prosto przed siebie. Darrel leżał wyciągnięty na trawie, pragnąc jak najprędzej skryć się pod osłonę drzew. Po upływie krótkiej chwili wstał, pędem przebiegł wąski pas murawy i znalazł się na skraju lasu. Był akurat w miejscu, w którym stracił z oczu Hume'a. Ukrywszy się za pniem drzewa, badał teraz ostrożnie głębię lasu.

Postać starego nie była już widoczna, ale odgłos jego kroków dochodził z niewielkiego oddalenia.

Przemykając się wężykiem między drzewami, Darrel bezszelestnie pospieszał za swą zdobyczą i gdy tylko las zaczął się przerzedzać, ujrzał znów

starego przed sobą w niewielkim oddaleniu. Szedł on spokojnie wąską, zarośniętą ścieżką, która biegła między drzewami.

Jedno okazało się jasne: droga ta nie była skrótem do Langley Towers, bo szli teraz w zupełnie przeciwnym kierunku. Gdy fakt ten stał się widoczny, tłuścioch poweselał; zrozumiał już, że nie traci czasu i że się nie zblamuje.

Hume kierował się coraz głębiej w gęstwinę lasu, a Jack deptał mu prawie po piętach. Ścieżka była tu tak zarośnięta i zarzucona gałęziami i chrustem, że często ginęła z oczu, a Hume z trudnością torował sobie drogę wśród gęstych krzewów. Znać było, że tędy dawno nikt nie chodził.

Szli tak dobre półtorej mili, gdy nagle stary zeszedł ze ścieżki i przez gęste krzaki skierował się na prawo.

Darrel przeczekał parę chwil, zanim ostrożnie ruszył jego śladem; po chwili syknął cicho, a okrągłe jego oczy zaiskrzyły się ciekawością.

Przed nim ukryty wśród drzew i krzaków, które go gęsto obrosły, stał mały walący się szałas - uboga leśna chatynka. Była tak stara i chwiejąca, że ledwie się trzymała. Hume zatrzymał się przed nadgniłymi drzwiczkami i zapukał.

Jack Darrel, leżąc o jakieś dziesięć jardów wśród paproci, z oczami zwróconymi na rozgrywającą się przed nim scenę, wstrzymał oddech z wielkiego wzruszenia.

Cóż za nadzwyczajne odkrycie! Czy tu była kryjówka sir Owena Langleya? Czy też ukrywał się tu tajemniczy napastnik, który zamierzał porwać Paulinę?

Po dwukrotnym pukaniu drzwi uchyliły się może na dwa cale i Hume powiedział coś cicho, tak że Darrel nie mógł pochwycić wyrazów. Na to drzwi otworzyły się szerzej, a gdy kamerdyner wszedł, natychmiast szczelnie się za nim zamknęły.

Jack postanowił sobie za wszelką cenę zobaczyć mieszkańca chatki i w tym celu powoli zaczął pełzać na brzuchu. Ktokolwiek próbował przedostać się

w ten sposób przez chrust zaplątany między łądygi, ciernie i pnącze zrozumie trudności jego przedsięwzięcia. Ale ciało jego, choć tłuste, było jednak wysportowane i wprawione w trudnej sztuce myśliwskiej, bo w ciągłej spółce z Vyne'em za szkolnych czasów wiecznie tropili urojonego wroga, więc choć wędrówka była powolna, udało mu się dokonać jej zupełnie cicho.

Dosięgał już prawie szałas, gdy drzwi się otwały i ukazała się w nich postać Hume'a. Darrel zauważył, że nie miał już przy sobie większej paczki, która, jak przypuszczał, zawierała to wszystko, co kamerdyner poprzedniego dnia zapakował do koszyka. Hume zatrzymał się przy drzwiach i powiedział coś do tajemniczego mieszkańca chaty. Mówił bardzo cicho, prawie szeptem i Jackowi udało się tylko pochwycić parę ostatnich słów: jeżeli się da, to jutro znowu... Jakiś grubszy głos odpowiedział z wewnątrz - dobrze, po czym drzwi zamknięto i stary odszedł. Przeszedł tak blisko Jacka, że ten byłby mógł go dotknąć. Hume miał oczy zapłakane, a na twarzy wyraz niewypowiedzianej rozpacz.

Jack przeczekał prawie pięć minut po odejściu starego, zanim się ruszył, po czym ostrożnie podszedł pod samą ścianę szałas. Usłyszał z wewnątrz brzęk szkła, a przyglądając się powierzchni nadgniłych desek, znalazł to, czego szukał, dziurę od sęka, i przyłożył do niej oko. Chatkę, w której nie było okna, oświetlała tylko świeczka przylepiona do pieńka. Obok siedział na ziemi jakiś wstrętny zarośnięty nędzarz i z butelki nalewał sobie wino do szklanki.

VII. Niebezpieczeństwo.

Paulina Langley wstała i ubrała się, nie spiesząc.

Nie wróciła jeszcze do równowagi po wzruszeniach poprzedniej nocy i pozostał jej po niej tępy ból głowy.

Jeszcze teraz, gdy światło słoneczne złotymi promieniami wpadało przez okna do sypialni, przypominała sobie groźne przejścia nocne. Ciągłe widziała schylonego nad łóżkiem straszego, bezkształtnego karła, z białą maską zamiast twarzy.

Miała jeszcze w nozdrzach słodkawą woń narkotyku, którym chwilę musiała oddychać, gdy napastnik usiłował przykryć jej twarz tamponem nasączonym chloroformem. Kto to mógł być i dlaczego ją właśnie obrał sobie za cel napaści? Co mógł chcieć od niej ten bestialski stwór? Na żadne z tych pytań nie znajdowała odpowiedzi. Czuła, że dokoła Langley Towers dzieje się coś poza jej świadomością - coś, w co zaplątany jest jej ojciec, co wywołało śmierć leśniczego Trávisa - ale czego nie umie ogarnąć umysłem.

Zbyt była normalna i zdrowa, by wierzyć w bajki o duchach, a jednak istota, która zakradła się do niej przez okno miała pozór zupełnie nadprzyrodzony.

Jedynie siniec, który wystąpił jej na rękę w miejscu gdzie karzeł chwycił ją podczas krótkiej walki, był dowodem rzeczywistości napastnika.

Najprawdopodobniejsze zdawało się, że ktoś stara się tu personifikować mniemanego ducha Langley Towers, mając na oku jakąś osobistą korzyść. Ale kto to mógł być? I co kryło się za całą tą sprawą? Pomijała możliwość związku całej sprawy z poszukiwaniem skarbu. Nigdy nie podzielała entuzjazmu ojca do tego podania przekonana, że jeśli w historii o ukrytym złocie było coś prawdy, zostało ono dawno znalezione i roztrwonione przez któregoś z poprzednich Langleyów.

Zadziwiło ją nawet, że Antoni Vyne zdawał się przywiązywać wagę do tej legendy.

Skończyła się ubierać i zeszła na parter, gdzie w całym mieszkaniu zastała głuchą pustkę. Gdy przechodziła z pokoju do pokoju nie znalazła nigdzie śladu niczyjej obecności. Nieco zdziwiona wyszła na taras i wyjrzała na gazon. Spodziewała się tam zastać Antoniego i Darrela, ale nie było nikogo. Wracając przez salon, spotkała pokojówkę Jenny i zwróciła się do niej z zapytaniem o gości.

- Pan Vyne raniutko wyjechał samochodem, proszę pani - rzekła służąca - a pan Darrel wyszedł. Był też pan Cunningham, ale pani Wakefield nie

pozwoliła chodzić do panienki, bo panienka spała.

Pan Cunningham przyjdzie znów po południu.

- Dziękuję ci, Jenny - rzekła Paulina, a gdy dziewczyna odchodziła dodała
- poproś do mnie Hume'a.

- Pan Hume także wyszedł, panienko - odrzekła Jenny.

- To powiedz mu, żeby do mnie przyszedł, jak tylko wróci - powiedziała Paulina i skierowała się na taras.

Widocznie wszyscy oddalili się z domu. Zeszła po schodkach na trawnik i wolno przechadzała się po ogrodzie. Byłaby chętnie z kim porozmawiała, bo czuła się nieswojo i ogarniała ją nuda. Gdzież oni wszyscy się podziali? Hume musiał pójść za jakimiś domowymi sprawunkami, ale goście? Jenny mówiła, że Antoni wyjechał samochodem, a Darrel wyszedł, więc nie pojechali razem. Żałowała, mimo wszystko, że pani Wakefield nie obudziła jej, gdy przyszedł Frank Cunningham. Byłaby go zatrzymała na lunchu i teraz miałyby miłe towarzystwo. Zajrzała do rosarium i czas jakiś rozmawiała ze starym Edwardsem, który szprycował tam sztampowe róże.

Skończywszy rozwlekły wykład o obyczajach zielonych mszyc, popatrzył na nią i rzekł z wahaniem.

- To nie ma jeszcze wiadomości o panu, panienko?

Wstrząsnęła głową.

- Dotychczas żadnej - odrzekła.

- A mnie to się zdaje, że i żadnej nie będzie ani teraz, ani potem - mówił ponuro staruszek. - I tu już nie poradzą żadne urzędniki ani policja.

Zaczął ze smutkiem kiwać głową.

Mimo niepokoju, na wargi Pauliny wybiegł szybko stłumiony uśmiešek.

- Dlaczego tak myślicie? - spytała.

- Bo policja to tylko ludzie, tacy jak ja i panienka - rzekł stary Edwards - a są rzeczy, na które ludzie nie mają sposobu. - Dziwnie popatrzył na nią. - Mnie się wszystko zdaje, że i nasz pan i Travis wojowali z czymś nadludzkim.

- Głupstwo! - rzekła gniewnie panna, choć nieco ubawiona. - Travisa przecież zastrzelono, a duchy nie używają chyba palnej broni.

- Używają co się znajdzie pod ręką, panienko - rzekł staruszek. - O tak, dobrze wiem, że Travisa zastrzelono i wiem, że ludzie śmieją się z tego, co ja myślę. Ale słyszałem i widziałem już niejedno i nikt mi nie potrafi wytłumaczyć...

- Czego? - spytała Paulina zaciekawiona, bo może stary Edwards rzeczywiście widział coś takiego, co pomoże do rozwikłania zagadki.

Ogrodnik wytarł sobie czoło wierzchem dłoni i podciągnął spodnie.

- A co to za światełka chodzą po lesie w nocy?

- wybuchnął, wyciągając umazany ziemią wskazujący palec za prawe ramię. - Ludzie je widują. W gospodzie Pod synem marnotrawnym mówili mi któregoś wieczoru, że Garge i Emilia, ci co się mają pobrać na Boże Narodzenie, widzieli je, spacerując w nocy po lesie.

- Co to za światełka? - spytała dziewczyna.

Siary zniżył głos.

- Takie ogniki w głębi lasu - rzekł tajemniczo.

Paulina uśmiechnęła się.

- Ja myślę, że pewno ktoś zapalał sobie fajkę lub papierosa - rzekła praktycznie.

- Nikt do tego lasu po ciemku nie chodzi - upierał się stary. - Przecież tamtędy nigdzie człowiek nie zajdzie.

- Jednak Garge i Emilia tam poszli - rzekła Paulina - to czemu kto inny nie miałby iść?

- Co innego Garge i Emilia - powiedział stary - oni to się przecie kochają, ale nikt co ma dobrze w głowie, tam nie pójdzie.

Tym razem Paulina roześmiała się głośno.

- Ładny komplement dla Garge'a i Emili - rzekła.

- Komplement, czy nie komplement - odpowiedział stary - ale tak jest. Te

świąteczka, według mnie, nie wróżą nic dobrego. Rad jestem, że ich sam nie widział.

- To wszystko śmieszne bajki - rzekła Paulina.

- Cóż światełko może komu szkodzić?

- A nie zna panienka gromnic? - spytał ogrodnik. - Ja myślę, że to właśnie gromnice się pokazują i wróżą śmierć.

Była taka powaga w twarzy starego, gdy to mówił, że Paulina poczuła zimny dreszcz wzdłuż pleców.

- Chyba nie wierzycie w te wszystkie głupstwa?

- rzekła.

Ogrodnik smutno pokręcił głową.

- Panience wolno mówić, że to głupstwa - odrzekł - ale ja w to wierzę i trzymam się swego.

- Powiedzieliście, żeście coś widzieli - rzekła dziewczyna. - Tymczasem powtarzacie to, coście słyszeli. Czy widzieliście co na własne oczy?

Stary Edwards popatrzył na nią uważnie, potem obejrzał się poza siebie, choć tylko sam mógłby wyjaśnić, czego tam szukał.

- Widziałem... widziałem coś tu w pobliżu - mówił powoli - i nie chciałbym więcej tego zobaczyć.

Za żadne pieniądze bym nie chciał! To się tu czai i skrada po lesie - naprawdę! - Znów wskazał palcem przez ramię. - Wczoraj widziałem to, akurat jak szedłem do domu. Ciemno się zrobiło, zanim skończyłem skrapiać te róże i uźrałem to prawie po ciemku.

- Co „uźreliście”? - spytała Paulina, bezwiednie przedrzeźniając starego.

- Ach - westchnął - nierad nawet o tym mówię i mogę powiedzieć, że nie bardzo się przyglądałem, ale to było całe czarne i pokręcone jak... jak mała.

Paulina poczuła bicie krwi w skroniach. Był to znów opis istoty, którą widziała schyloną nad ojcem leżącym na trawie, tej samej, która do niej dostała się przez okno! Stary Edwards nie fantazjował, jak jej się na razie zdawało. On

naprawdę coś „uźrał”.

- Trzeba o tym co widzieliście opowiedzieć policji - rzekła.

Ogrodnik pogardliwie pociągnął nosem.

- Policji - rzekł z lekceważeniem - a cóż oni na to zrobią? Przecież oni mogą tylko złapać istotę z krwi i kości...

Urwał i obejrzał się, bo do rosarium od strony pałacu biegła Jenny.

- Proszę panienki - rzekła - pan Cunningham dzwoni i prosi panienkę do telefonu.

Paulina skinęła staremu głową na pożegnanie i pobiegła za Jenny do pokoju. Telefon stał w halu, a słuchawka odłożona leżała obok na stole.

Paulina podniosła ją do ucha.

- Czy to ty Frank? - zawołała.

Głos zmieniony wzruszeniem odpowiedział jej.

- To ja. Słuchaj, czy mogłabyś zaraz przyjść do mnie?

- Dobrze, ale dlaczego? Co się stało? - pytała dziewczyna.

- Znalazłem twego ojca - brzmiała odpowiedź, a gdy wydała okrzyk zdumienia - tylko o tym ani słowa nikomu. Musimy go ukrywać... to on zabił Trávisa.

Paulina przerażona o mało nie upuściła słuchawki.

- Jak to? - zaczęła, ale głos w telefonie przerwał jej.

- Nie można przez telefon - ostrzegł. - Przyjdź zaraz tu, do mnie. Ojciec jest tu chwilowo i wszystko ci wytłumaczy. Tylko spiesz się! Leć krótszą drogą, przez las!

- Dobrze, zaraz idę - odrzekła, rzucając słuchawkę na widełki.

Nie tracąc ani chwili, wybiegła, jak stała, bez kapelusza. Na końcu uliczki, na zajezdzie była mała furtka, która wychodziła na drogę. Ku niej bez tchu prawie biegła Paulina. Czowała zamęt w głowie. - A więc Frank znalazł jej ojca - a ten zabił leśniczego?

Drżącą ręką pchnęła furtkę i zatrzasnęła ją za sobą.

Droga, na którą się wydostała, dwieście jardów dalej skręcała w las otaczający z dwóch stron Langley Towers. Ścieżka wiła się między drzewami i przez las prowadziła na łąki należące już do Franka Cunninghama.

Paulina biegła leśnym przesmykiem, omijając gęste korzenie drzew, zanedo przejęta by patrzeć przed siebie. Po chwili znalazła się w największej gęstwinie i wtedy dopiero spostrzegła, że przed nią rusza się coś w krzakach. Gdy się z nimi zrównała, jakaś nieludzka postać wyskoczyła na ścieżkę i pochwyciła ją za ramię.

Był to straszny zgarbiony połamaniec, a w miejscu twarzy miał białą plamę.

Krzyknęła. Jakaś ręka zatkała jej usta, tłumiąc wołanie o pomoc, a skrzeczący głos zapiszczał drwiąco do jej ucha.

- W sam czas przyszłaś kochaneczko! Możesz być pewna, że nigdy nie wrócisz tam, skąd przybywasz!

VIII. Niepewność.

Jack Darrel patrzył z ciekawością przez dziurę w ścianie szałas. Obdartus wypił wino, a potem zaczął wyjmować z paczki wiktuały. Był tam chleb, pół piezonego kurczęcia, masło i ser. Zaczął jeść łapczywie jak zwierzę; widać było, że jest zgłodniały.

Darrel zmarszczył brwi, rozważając, co teraz robić. Czy wprost udać się do policji, czy czekać powrotu Antoniego Vyne'a i naprzód powiadomić go o tym dziwnym odkryciu? Szybko zdecydował się, że to ostatnie będzie najlepsze. Gdyby zawiadomił policję, może to wywołać niepożądany skandal; wszak nie miał pojęcia, kim jest ten nieznany człowiek. Kamerdyner mówił, że postara się jutro znowu przyjść, więc wygląda na to, że włączęga co najmniej do jutra stąd się nie ruszy. Zdecydowawszy się czekać, zaczął pełznąć z powrotem, oddalając się od szałas. Bez najmniejszego szelestu przedzierał się przez leśne podszycie, aż sądząc, że oddalił się już dostatecznie, powstał na nogi. Zgrzany i zadyszany niezwykłą gimnastyką, zaczął się wolno wlec z powrotem drogą, którą przybył.

Umysł jego miał nad czym pracować przez drogę. Nowy rozwój wypadków ani o włos nie rozjaśnił tajemnicy; właściwie całą rzecz jeszcze tylko zagmatwał. Spodziewał się on ujrzeć w chatce sir Owena, a nie tego wstrętnego nędzarza. Kto to może być i po kiego licha Hume zaopatruje go w żywność?

Nie znalazł na to odpowiedzi, wskutek czego przybył do Langley Towers w dosyć cierpkim humorze.

Zły był, że Antoni pognał do Londynu; byłby pragnął obgadać z nim ten niespodziewany incydent, a tu cały dzień minie, zanim będzie mógł podzielić się z kimkolwiek swym odkryciem. Nie spiesząc się, szedł wolno do domu i pierwszą osobą, którą ujrzał, wstępując po stopniach tarasu, był Hume. Stary sługa skłonił się z uśmiechem.

- Pan ze spacerku? - rzekł uprzejmie. - Tu dookoła są bardzo ładne spacery. To jedna z najpiękniejszych okolic Angli.

Darrel kiwnął głową.

- Rozprostowałem sobie trochę nogi - odrzekł.

- Gdzie jest panna Langley?

- Zdaje się, że wyszła, proszę pana - powiedział Hume.

Darrel zachmurzył się. Co to było, co mu Antoni polecił? Że nie ma pannie pozwolić wychodzić z domu?

Ale to dotyczyło zmierzchu, więc może za dnia nic nie szkodzi?

- Czy powiedziała gdzie idzie? - spytał.

Hume potrząsnął głową.

- Nie, proszę pana, właściwie nie widziałem, kiedy wyszła, ale Jenny mówiła mi, że był telefon od pana Cunninghama, więc przypuszczam, że poszła do niego.

Darrel rozpogodził się.

Jeżeli jest u Cunninghama, to wszystko w porządku. Rozsiadł się wygodnie z książką na tarasie, a wskutek zmęczenia i upału poczuł się senny i zapadł w drzemkę.

Obudził go drwiący głos.

- Ładnie pan spędza taki cudowny poranek!

Darrel zerwał się mrugając oczami i spojrzał na mówiącego. Przed nim stał Frank Cunningham i przyglądał mu się ironicznie.

- Halo! - rzekł Darrel i, ziewając, wygramolił się z głębi fotela. - Co pan tu robi?

- Przyszedłem, bo mam nadzieję, że zostanę zaproszony na lunch. Jak się miewa panna Langley?

Darrel wytrzeszczył na niego oczy.

- Zdrowa - rzekł. - Czyż jej pan nie widział?

Cunningham zaprzeczył.

- Nie - odrzekł - spała kiedy tu rano byłem i nie chciałem jej budzić.

- Nie chodzi o dzisiaj rano - zawołał tłuścioch - ale po pańskim telefonie...

- Po jakim telefonie? - przerwał tamten. - Wcale dziś nie telefonowałem.

O czym pan mówi?

Z twarzy Darrela znikły zdrowie rumieńce.

- Nie telefonował pan? - powtórzył. - Ależ Hume powiedział mi przed chwilą, że panna Langley wyszła, otrzymawszy telefoniczne wezwanie od pana.

- Wcale dziś nie dzwoniłem - rzekł Cunningham z nutą przerażenia w głosie. - Wołaj pan Hume'a!

Sprowadził kamerdynera, ale ten niewiele zdołał ich objaśnić.

- Jenny odbierała telefon - rzekł.

Posłali więc po Jenny, która przybiegła uśmiechnięta.

- Tak, proszę pana, to ja odebrałam pana telefon - rzekła. - Panienska była w ogrodzie, rozmawiała właśnie z Edwardsem, kiedy ją poszłam poprosić.

- Na Boga! przecież powtarzam, że wcale dziś nie dzwoniłem - krzyczał Frank Cunningham z twarzą zmienioną przerażeniem.

- Ależ to był zupełnie pana głos - twierdziła swoje Jenny - i przecież pan sam kazał mi powiedzieć paniencie, że to pan ją prosi.

- Ależ... - zaczął Cunningham, i zamilkł, gdyż Darrel rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

Pozbyli się Jenny i kamerdynera, a wtedy Darrel zwrócił się do towarzysza.

- Słuchaj pan - rzekł serio. - Nie chciałem nic mówić przy tych dwojgu, ale to mi coś bardzo poważnie wygląda.

- Ja też się boję - rzekł Cunningham zmienionym głosem. - Ani mi się śniło telefonować, więc ten ktoś, co mnie udawał, chciał najwidoczniej wywabić Paulinę z domu.

- Myślę zupełnie tak samo - przyznał Darrel - i porządnie jestem wystraszony.

Twarz Franka zbladła jeszcze.

- Boże, Boże! chyba pan nie przypuszcza... - zaczął.

- Po wczorajszej nocy, można przypuszczać wszystko - warknął krótko Darrel. - Potrzebny by tu był Antoni, ale go nie ma, więc musimy sami coś obmyślić. Słuchaj pan! Ten telefon miał pannę Langley wywabić z domu, musiał jej więc naznaczyć spotkanie z panem. Gdyby pan naprawdę był dzwonił i chciał się z nią zaraz zobaczyć - co by pan był zaproponował?

- Albo powiedziałbym, że tu przyjdę, albo poprosił, żeby przyszła do mnie.

- Właśnie! - szybko rzekł Darrel. - A jeżeli poszła do pana, to którędy?

- Najkrótsza droga jest przez las... Gdzież pan do diabła leci? - przerwał sobie Frank, gdy Darrel z niezwykłą zwinnością u człowieka tej tuszy zbiegł po stopniach tarasu.

- Do lasu - zawołał przez ramię - trzeba tam szukać, czy nie ma jakichś śladów. Musimy coś zrobić i to jedno przyszło mi do głowy.

Cunningham jednym susem zeskoczył ze schodków i biegł już za nim - obaj pędzili do furtki, którą poprzednio wyszła Paulina. Pod gęstymi drzewami było ciemno i niemiło. Biegli w milczeniu przejęci nieokreśloną trwogą. Każdy

z nich żywił tajemną obawę, co tam zastanie i nie śmiał wyrazić jej słowami.

Dobiegli do środka lasu, gdy Darrel, którego oczy wciąż uważnie badały grunt, zobaczył na ziemi coś błyszczącego i zatrzymał się nagle.

- Co to? - krzyknął zdyszany Frank, gdy tamten schylił się i momentalnie wyprostował. W odpowiedzi Darrel pokazał mu na wyciągniętej dłoni maleńki przedmiot. Była to brylantowa baretka.

- To Pauliny - zawołał Cunningham, gdy tylko rzucił okiem.

Darrel nie odpowiedział, lecz wpatrywał się wciąż w miejsce na ziemi, skąd podniósł broszkę. Widniało tam parę ciemnych plam. Pochyliwszy się, dotknął jednej z nich palcem, a gdy się wyprostował, zobaczył, że palec ma umazany świeżą krwią.

IX. Odnaleziona.

Paulina zadrżała słysząc pogroźkę wstrętnej istoty, która trzymała ją jak w kleszczach - nie straciła jednak przytomności. Myśl jej pracowała w niesłychanym tempie, by wynaleźć sposób wydostania się z rąk napastnika - i nagle w głowie jej powstał całkowity plan ratunku. Z cichym jękiem bezwładnie zwisła mu na rękę i zamknęła oczy.

Usłyszała jego krzyk, a uścisk obejmujących ją rąk zacieśnił się jeszcze. Poczula na twarzy gorący oddech, gdy pochylił się, by jej się dokładnie przyjrzeć.

- Zemdląca? co? - mruknął. - Doskonale!

Będzie mniej kłopotu.

Rozluźnił uścisk, chcąc ją wziąć na ręce, ale nagle wyteńczyła wszystkie siły i wyrwała się z jego ramion.

Wrzasnął jakieś przekleństwo i skoczył za uciekającą, chwytając ją za ramię. Nagłym ruchem wykręciła głowę i zagłębiła zęby w olbrzymiej zaciśniętej ręce. Usłyszała, jak zawył z bólu, i chwyt jego momentalnie zwolniał. Nie oglądając się, wpadła na oślep w gęstwinę lasu i popędziła jak kula. Ból w ręce, z której lała się krew, zatrzymał i ubezwładnił go na chwilę i

to pozwoliło jej uciec. Pędziła, skacząc i przedzierając się przez zarośla, a w duszy modliła się, żeby tylko nie upaść. Za sobą słyszała jego ciężkie kroki i trzask łamanych gałęzi, ale biegła szybciej od goniącego i nie mógł się z nią zrównać. Droga stawała się coraz trudniejsza, podszycie lasu było coraz gęstsze; mimo wszystko biegła jak strzała. W panicznym strachu zatraciła poczucie kierunku i nieświadomie szukała pomocy w stronie, gdzie się jej najmniej mogła spodziewać. Przerazonym wzrokiem rzuciła poza siebie i zobaczyła, że mimo jej wysiłków, napastnik zaczyna się zbliżać. Zdwoiła szybkość. Oddech jej ze świstem wydobywał się przez zaciśnięte zęby i czuła już tępe klucie w boku. Czarne i czerwone płatki zaczęły jej latać przed oczami, a krew waliła do głowy. Zdawała sobie sprawę, że lada chwila padnie.

Las się przerzedzał. Na otwartym polu nie mogła już liczyć na żadną kryjówkę. Nogi jej stały się ciężkie jak ołów, a serce w piersi tłukło jak młotem, ale z rozpaczą parła dalej, lecąc na oślep. Strach zdwajał jej siły.

Raz jeszcze obejrzała się - pogoń była coraz bliżej, przed nią rozciągał się jeszcze ostatni pas gęstych krzaków i paproci. Rzuciła się w sam środek gęstwiny i nagle noga jej natrafiła w próżnię!

Krzyknęła - chwyciła za zwieszającą się gałąź, lecz ta oddarła się pod jej ciężarem. Czuła, że leci w przepaść. Instynktownie szarpnęła się w tył, nogi jej znalazły oparcie i na piętach zjechała w głąb po urwistym zboczu.

* * *

Frank Cunningham ze zgrozą patrzył na umazany krwią palec Darrela.

- Boże, Boże! - jęczał. - Co tu się stało?

Tłuścioch kręcił głową.

- Bóg tylko jeden wie - rzekł poważnie i zaczął się oglądać dokoła.

Na miękkiej powierzchni ścieżki pozostały ślady walki; ziemia była zdeptana i znać było wyraźne zagłębienia wysokich obcasów. Wiodły one w głąb lasu, a gdzieś pokryte były śladem wielkiego, ciężkiego buta. Pokazał je Cunninghamowi i razem poszli za śladem, który biegł wśród

krzewów i paproci.

Wskazywał on wyraźnie kierunek ucieczki dziewczyny.

Porost traw był zdeptany, a gałęzie niższych krzewów połamane. W śmiertelnym strachu przed tym, co mogą napotkać, przedzierali się dalej i dalej przez gęstwinię.

Ślad przerywał się, odnajdywał znów dalej, aż wreszcie spostrzegli, że wydostają się na skraj lasu.

- Ostrożnie tutaj - ostrzegł Frank Cunningham szeptem, gdy wolno posuwali się naprzód. - Za tymi krzakami jest prawie pionowe urwisko do starego kamieniołomu.

Darrel kiwnął głową, zatrzymał się i wskazał coś palcem.

- Patrz pan - mruknął.

Cunningham poszedł wzrokiem za jego wyciągniętą ręką i zobaczył, o co chodzi. Ślady Pauliny wiodły prosto na zasłaniający przepaść pas krzaków, które zarastały brzeg urwiska.

- Straszne! - zaczął i przerwał, bo Darrel chwycił go nagle za rękę.

- Słuchaj pan! - wyszeptał.

Gdzieś z bliska dochodził cichy jęk - głos był kobiecy.

Cunningham przedarł się przez krzaki, a gdy Darrel posunął się ostrożnie za nim, leżał już wyciągnięty na ziemi pod zaroślami, wpatrzony w otwartą przepaść.

Jęk powtórzył się teraz wyraźniej i doszło ich wołanie:

- Ratunku! Pomocy!

Kierując wzrok za tym głosem, Darrel zobaczył dziewczynę na dnie jamy. Leżała skulona tuż obok wielkiego kamienia.

Cunningham zaczął wołać.

- Halo, Paulino, czy jesteś ranna?

Odwróciła głowę w ich stronę i słaby dygocący głos odpowiedział.

- Nie wiem... chyba nie...

- Schodzę do ciebie - zawołał Cunningham i zaczął zsuwać się po zboczu, na dno kamieniołomu. Z niesłychaną trudnością spuszczał się po osypisku, często zjeżdżał siedzący, chwilami udawało mu się znaleźć oparcie dla nóg. Paulina spadła na kupę piasku i temu zawdzięczała życie. O jard dalej byłaby roztrzaskała głowę o wielki kamień. Ukląkł przy niej i delikatnie uniół jej twarz w dłoniach.

- Zdaje się, że to tylko szok nerwowy - rzekła.

- Pamiętam jak leciałam z góry, ale potem musiałam zemdleć. Czy złapaliście go? - spytała.

Cunningham potrząsnął głową.

- Nie złapaliśmy nikogo, ale co się stało?

- To był Czarny Garbus - szepnęła. - Czekał na mnie w lesie i... - wzdrygnęła się - ach, to było okropne! Nigdy jeszcze tak się nie bałam!

- Nie myśl już o tym - rzekł Frank łagodnie. - Teraz trzeba się postarać, żeby cię stąd wyciągnąć i do domu!

Łatwiej to było powiedzieć, niż zrobić, ale we dwóch dali sobie jakoś radę. Miękki piasek uchronił Paulinę od potłuczenia i przekonali się, że prócz paru starć skóry i siniaków, nie ma poważniejszych skaleczeń. Można było zaraz zabrać ją do Langley Towers i oddać pod czułą opiekę pani Wakefield.

Frank Cunningham został przez resztę popołudnia, rozprawiając z Darrelem o wypadku; dopiero około podwieczorku poszedł do domu. Darrel pozostał sam do przyjazdu Vyne'a, który zjawił się równocześnie z uderzeniem gongu, oznajmującym, że czas ubierać się na obiad. Antoni był zgrzany, zakurzony i zmęczony drogą. Poważnie wysłuchał relacji Darrela o napadzie na Paulinę.

- To już drugi raz! - rzekł gdy przyjaciel umilkł.

- Nasza rzecz teraz, żeby nie było trzeciego.

X. Znowu strzał.

Darrel siedział na łóżku przyjaciela, podczas gdy tamten się przebierał i

opowiadał mu, jak tropił w lesie kamerdynera i odkrył szalasa.

Reporter, nie przerywając, słuchał słów Jacka.

- Wszystko to niewiele nam pomoże, prawda? - zakończył Darrel. - Spodziewałem się zastać w tej chatce sir Owena. To byłoby przynajmniej rozjaśniło sprawę.

Antoni zamyślony patrzył w lustro, uważnie szczotkując włosy.

- Masz rację, stary - mruknął po chwili - wszystko to wiele nam nie pomoże.

- Czy myślisz, że ten włóczęga, to właśnie Czarny Garbus? - spytał Jack.

Ale Vyne zdecydowanym ruchem potrząsnął głową.

- Nie. Jestem pewien, że to nie on - odrzekł. - Jeżeli moja orientacja nie jest zupełnie fałszywa, to Czarnego Garbusa odgaduję w kim innym.

- W kimże? - spytał żywo Darel.

Nie mogę ci jeszcze w tej chwili powiedzieć - odrzekł Antoni - ale robiłem poszukiwania w Londynie, które przydadzą się później do oświetlenia całej tej sprawy. W tej chwili nie mam jeszcze najmniejszego pojęcia, kim jest ten obdartus i dlaczego Hume zaopatruje go w żywność. Czy jesteś zupełnie pewien, że to nie był sir Owen?

- Najzupełniej - stwierdził Darrel. - Znam go wprawdzie tylko z fotografii, ale to zupełnie inny typ.

Ten jest niższy i znacznie cięższy.

- W każdym razie, chwilowo nie ma obawy, żeby się ruszył z legowiska - rzekł Vyne, zapinając kamizelkę. - Ze słów kamerdynera, jakie cię tam doszły, wynika jasno, że jutro ma on znów zamiar iść do tego szalasu, pewno z dalszą żywnością; znajdziemy się tam wtedy obaj i przymusimy Hume'a, żeby zidentyfikował tego człowieka. Tymczasem nie trzeba niczym wzbudzać podejrzeń kamerdynera, bo może ostrzec tamtego i ptaszek nam umknie.

Zeszli do jadalni i zastali tam Paulinę, która wstała na obiad. Dłuższy wypoczynek dobrze jej zrobił i tylko brak zwykłych rumieńców mówił o

przedpołudniowych wzruszeniach. Obiad zbliżał się ku końcowi, gdy niespodziewanie Vyne zwrócił się do panny z zapytaniem, które zdumiało Darrela.

- Czy wiadomo jest pani, jakich żyjących krewnych miała pierwsza żona pani ojca, gdy za niego wychodziła?

Dziewczyna zastanowiła się chwilę zanim odpowiedziała.

- Była już sierotą, kiedy tatuś ją poznał - odrzekła wreszcie - ale zdaje mi się, że miała brata.

- A nie wie pani czasem, gdzie ten brat obecnie przebywa? - spytał reporter.

Paulina potrząsnęła głową.

- Nawet nie wiem czy jeszcze żyje - odrzekła.

- Tatuś niewiele mówił o swoim pierwszym małżeństwie, a ja się naturalnie nigdy nie pytałam.

- Jakie było panięskie nazwisko jego pierwszej żony? - dopytywał się dalej Vyne.

- Fearon - odrzekła panna Langley. - Mercia Fearon; tatuś poznał ją za granicą, zdaje się gdzieś w Argentynie... - Urwała i z ciekawością popatrzyła na Antoniego. - Dlaczego pana to interesuje? Chyba nie sądzi pan, żeby to mogło mieć jaki związek ze zniknięciem tatusia?

- Doświadczenie nauczyło mnie, proszę pani - rzekł reporter z uśmiechem - że można czasem odnaleźć nić przewodnią jakiejś sprawy w najnieprawdopodobniejszej informacji.

Temat ten upadł, bo rozmowa potoczyła się innym korytem. Właśnie kończyli pić kawę, którą podano na tarasie, gdy przyszedł inspektor Porson, żeby ich zawiadomić, że śledztwo w sprawie zabójstwa Trávisa odbędzie się w przyszły czwartek, to jest za dwa dni.

Gdy inspektor się pożegnał, Vyne wziął go jeszcze na stronę.

- Czy dużo tu macie włóczków po drogach? - zapytał.

Porson z namysłem poskrobał się po głowie.

- Ależ nie, panie Yyne - odrzekł powoli i poważnie - tego nie mogę wcale powiedzieć. Ta okolica była zawsze wolna od tych jegomościów.

- A nie zauważył pan ostatnimi czasy w sąsiedztwie jakiego obdarlusa? - badał dalej reporter - takiego grubego, niskiego?

Inspektor zwolna pokręcił głową.

- Nie mogę powiedzieć, żebym zauważył - odrzekł - ale będę się dopytywał. Czy pan przypuszcza, że biednego Trávisa zastrzelił taki „podróżny”?

- Nie, nie - odpowiedział Antoni - tak tylko z ciekawości się pytam. Zdawało mi się, że widziałem włóczęgę idącego szosą, gdy wracałem dziś przez wieś.

Niedobrze jak ich się dużo włóczy, więc pomyślałem, że należy panu o tym wspomnieć. Ale może się omyliłem.

- W każdym razie będę uważał - rzekł inspektor Porson - a jeśli taki gdzie się włóczy, to go prędko złapię. Wcale ich tu nie pragniemy.

Inspektor pożegnał się, a wkrótce potem Antoni, zostawiwszy Darrela zajętego rozmową z Pauliną, udał się na pocztę. Idąc, oglądał się bystro na wszystkie strony, mając w pamięci poprzednie doświadczenie, ale nic go tym razem nie spotkało i wysławszy długi telegram do wydawcy Messengera, poszedł na przechadzkę, by spokojnie wytchnąć w zapadającym zmierzchu cudnego letniego wieczoru.

Wędrując tak wolnym krokiem z fajką w zębach, w myśli segregował wszystkie fakty, które były mu znane.

Sir Owen Langley interesował się legendą o skarbie Langley Towers i, jak twierdziła Paulina, odkrył już znaczenie wiersza zostawionego przez ich przodka, sir Hugona Lang Lee, jako drogowskaz do kryjówki złota. Natychmiast po dokonanych odkryciach sir Owen zniknął tajemniczo, wybiegłszy z domu wśród nocy odziany tylko w pidżamę i szlafrok. I jakby się rozplątał w

powietrzu! Około tego czasu zaczęła się też ukazywać ludziom postać Czarnego Garbusa, którą pierwszy widział Travis skradającą się dokoła Langley Towers na trzy dni przed swoją śmiercią, a którą później widziała Paulina przez okno tej nocy, kiedy zniknął jej ojciec i zamordowano leśniczego.

Musi jednak istnieć jakiś związek między tymi wszystkimi zdarzeniami. W następstwie strzelano do niego samego, gdy wracał pieszo po rozstaniu z Cunninghamem i dwa razy próbowano porwać Paulinę Langley. Znaleziony rewolwer i złoty breloczek zdawały się ostatecznie wskazywać na to, że sir Owen winien był śmierci Tralisa. A jednak Antoni nie mógł uwierzyć w możliwość tego faktu. Zdawał się on tłumaczyć jego zniknięcie, ale reporterowi nie chciało się wierzyć, że taki był rzeczywisty powód. Ułożył sobie teorię, która zdawała się obejmować wszystkie fakty, jakie miał w posiadaniu, ale była tak wstrząsająca, że wahał się ująć ją w słowa. Pasowała ona do wszystkich zdarzeń, nie godziła się tylko z jednym i to właśnie kłopotowało w tej chwili Antoniego Vyne'a.

Żadnym sposobem nie mógł on wprowadzić do rozwiązania zagadki owego włóczęgi w szalasy wśród lasu. Spacerując wolno po spokojnej i cichej wiejskiej drodze, na próżno starał się dopasować ten fakt do innych ogniw w łańcuchu wypadków, który tworzył.

Kto był mieszkańcem chatki i dlaczego Hume starał się dostarczać mu jedzenia? Czy możliwe, żeby się teraz okazało, że cała zbudowana przez niego teoria jest fałszywa i że ten nędzarz, to nikt inny tylko sir Owen?

Wprawdzie Darrel utrzymywał, że nie ma między nimi żadnego podobieństwa, ale wszak Darrel znał sir Owena tylko z fotografii i bardzo łatwo mógł się omylić, zwłaszcza, jeśli sir Owen był w przebraniu.

Jeżeli rzecz tak się miała, to zdawała się potwierdzać posądzenie Darrela i Franka Cunninghama, że to sir Owen strzelił do leśniczego i wywołał inne niezwykle wypadki dokoła Langley Towers. Nie mógł tylko Vyne żadną miarą uwierzyć, żeby sir Owen miał dokonać podwójnej napaści na Paulinę. Było nie

do pomyślenia, żeby ktoś chciał porywać siłą swoją własną córkę, a zresztą - z jakiego powodu? Nie. Obecność tego „podróżnego” musi się inaczej wyjaśnić. Czyż było możliwe, żeby sir Owen był tym nieznanym, który udawał Czarnego Garbusa? To zdawało się już prawdopodobniejsze i Antoni skłaniałby się do wiary w moźebność tej maskarady, gdyby nie to, że Hume żywił tego nędzarza. Oznaczałoby to, że stary kamerdyner należy do zмовy przeciw sir Owenowi i Paulinie, a Antoni, który był biegłym fizjonomistą, nabrał przekonania, że stary sługa szczerze oddany jest swemu panu i panience i na pewno byłby ostatnim, któryby wziął udział w jakiegokolwiek czynionej im krzywdzie. Myśli jego powróciły do pierwszej zbudowanej hipotezy i analizował ją szczegółowo.

Gdy zatopiony w myślach, wchodził do lasu, nie spostrzegł między dwoma blisko rosnącymi pniami drzew przyglądającej mu się postaci w łachmanach.

Włóczęga obserwował ruchy jego atletycznej postaci, póki nie znikła mu z oczu, po czym odwrócił się i zapadł gdzieś w głębię lasu.

Było coś niesamowitego i tajemniczego w tym obdartusie, który jak zgonione zwierzę, szybko przedzierał się przez gęste chaszczce. Ciemny stwór, pokrewny sowom i nietoperzom, posuwał się ze zwieszoną głową i wzrokiem wbitym w ziemię jak uosobienie rozpacz. Był to obraz człowieka w ostatnim upadku; ciężką zwierzęcą szczękę pokrywała mu parotygodniowa szczecina, a włosy zarastały niskie, cofające się czoło. Włosy te, zapuszczone od niedawna, były krótkie i najeżone jak szczotka. Utykał lekko, idąc, bo prawie nowe buty, które miał na sobie, nie pasowały na jego nogi. Gdy się tak włókł wśród ciemności, wargi jego odchylały się w przykry grymas, ukazując żółte powyłamywane zęby, które nadawały mu dziwne podobieństwo do wilka.

Nagle znieruchomiał z ciałem wyciągniętym jak struna i zaczął czujnie nasłuchiwać. Było już zupełnie ciemno, a w ciszy poczynającej się nocy, najłżejszy szmer rozbrzmiewał daleko. Usłyszany odgłos był tylko trzaskiem

złamanej gałązki, a już w krwią zaszłych oczach włóczęgi, ukazał się wyraz strachu. Drugi trzask i „podróżny” przykucnął za grubym pniem drzewa, kryjąc się w gęstym podszyciu lasu. Księżyc nie wzeszedł jeszcze, a bór pogrążony był w zupełnej ciemności. Powtarzający się trzask łamanych gałązek zbliżał się, po czym umilkł zupełnie. Po chwili ktoś potarł zapałkę i mały żółty płomyk zamigotał w cieniu.

Oświecił on postać mężczyzny. Nowoprzybyły skierował płomień na zegarek, który nosił na ręku.

Zapałka płonęła tylko chwilę, bo natychmiast ją zdmuchnął, ale w tej jednej chwili twarz jego ukazała się oczom włóczęgi w pełnym świetle.

Ten zerwał się nagle i całą siłą woli stłumił okrzyk, który mu wybiegł na usta. Przybysz, który zaświecił zapałkę, poszedł dalej nieświadomy, że tuż za nim, bezszelestnie jak cień, sunie „podróżny”.

* * *

Antoni skręcił we wjazdową aleję Langley Towers, zajęty wciąż nierozwiązanym problemem, który obracał w myśli i nie doszedł do żadnej zadowalającej konkluzji.

Wchodząc do salonu, zastał tam Darrela i Paulinę, pogrążonych w rozmowie, która obracała się dokoła sławy i triumfów dwóch dobrze znanych gwiazd filmowych.

- Halo! - zawołał na niego Darrel, gdy Antoni wchodził do pokoju. - Właśnie zaczynałem się niepokoić, gdzie się podziewasz.

- Byłem we wsi, żeby wysłać depezę - odrzekł reporter.

- Przecież ktoś ze służby mógł ją odnieść, panie Vyne - rzekła dziewczyna.

- Jeżeli spowiedź leczy duszę, to spacer wątrobę - odpowiedział uśmiechając się Vyne. - Mam nadzieję, że Jack nie zanudził pani swymi zapatrywaniami na świat ekranu. Jeżeli go nie powstrzymać, bywa gadatliwy, o ile nie je.

Darrel obruszył się.

- To mi się podoba - krzyknął, udając oburzenie - ja...

- Dla mnie, pan Darrel był bardzo zajmujący - przerwała mu z uśmiechem Paulina.

- Muszę przyznać, że zwykle jest taki - zgodził się Vyne, podchodząc do kominka i siadając w fotelu.

- Właściwie...

Nagle przerwał. Drzwi na taras były szeroko otwarte i z zewnątrz, zupełnie blisko, usłyszeli wyraźny huk strzału!

Vyne zerwał się momentalnie.

- Lećmy, Jack! niech pani się stąd nie rusza! - zawołał i skoczył do otwartych drzwi.

- Skąd strzelał? Jak ci się zdaje? - wołał Darrel, biegnąc za przyjacielem.

- Nie umiem powiedzieć, ale zupełnie z bliska - odkrzyknął Antoni, zeskakując ze stopni tarasu na trawnik.

- Mnie się zdaje, że z rosarium - dyszał Darrel, z trudem zdążając za wielkimi susami Vyne'a.

Pędem przebiegli trawnik, a przed schodkami prowadzącymi do rosarium, Vyne zatrzymał się sekundę i zaczął węszyć pod wietrzyk.

Pomimo silnej woni rozkwitłych róż, nozdrzy jego doszedł przykry swąd spalonego prochu.

- To tu gdzieś blisko strzelono - rzekł Antoni - czuć jeszcze...

- Patrz! Tam koło wrót prowadzących na Home Covert - wołał podniecony Darrel.

Żółty krąg księżyca wypływał właśnie na niebo i światło było już dość silne, żeby uwidocznić szare kontury przedmiotów. Spojrzenie Antoniego poszło za wyciągniętą ręką przyjaciela. Jakiś duży czarny przedmiot leżał wyciągnięty na ścieżce w pobliżu wyjścia. Vyne rzucił się tam bez słowa, a Darrel pobiegł za nim. Była to nieruchoma postać mężczyzny.

Reporter nachylił się i przewróciwszy ostrożnie na wznak nieboszczyka położył mu rękę na sercu.

- Zabity na miejscu - odezwał się po chwili bezdźwięcznie. - Okolice Home Covert zaczyna być niebezpieczna. Ciekaw jestem, co to za biedak?

Wyciągnął z kieszeni zapalki i oświetlił trupa, a gdy blask padł na twarz zabitego, Darrel wydał okrzyk zdumienia i odskoczył. Był to ów włóczęga, którego rano widział siedzącego w chatce. Głowę miał przestrzeloną.

XI. Czarny Garbus.

Z domu doszły ich jakieś głosy i Vyne chwycił Darrela za rękę, bo w jednym z rozmawiających poznał kamerdynera Hume'a.

- Prędko stary! Leć i każ Hume'owi zadzwonić po policję i doktora, tylko nie mów mu, kogo zabito!

Leć prędko i przynieś mi, wracając, latarkę!

Pozostawszy sam, Antoni stał parę sekund wpatrzony w ciało włóczęgi, gładząc sobie bezmyślnie podbródek. Następnie podszedł do dębowych wrót w murze, które oddzielały rosarium od okólnika i spróbował je otworzyć. Były zamknięte! Vyne przygryzł wargi. A więc nie tędy przyszedł włóczęga?

Czego mógł w ogóle chcieć w ogrodzie róż? Na to pytanie nie umiał sobie odpowiedzieć. Po chwili przyszedł Darrel z mocną elektryczną latarnią.

- Inspektor Porson i doktor zawiadomieni, zaraz tu będą - oznajmił, podając latarkę przyjacielowi.

- Więc mamy jeszcze około dziesięciu minut dla siebie - mruknął Antoni, rzucając jasny krąg światła na ciało „podróżnego”. - Potrzyмай to minutkę Jack - rzekł krótko, oddając latarkę towarzyszowi i klękając koło trupa.

Zręcznie i szybko obszukał jego łańchmany, ale nie znalazł nic, prócz w połowie wypróżnionej paczki papierosów Gold Flake i pudełka zapalek.

- Niewiele tego - rzekł, kładąc je na powrót do kieszeni włóczęgi i powstając. - Chodź teraz pod mur i oświetlaj mi go z góry.

Wpół drogi od wrót do narożnika rosarium Antoni zatrzymał się.

- Tędy się przedostali - rzekł, wskazując na świeżo zdrapany mech obrastający kamienie. - Patrz, duże kawałki mchu poodrywane. - Schylił się i zbierał je z rabatki, ciągnącej się pod murem.

- Daj mi na chwilę światło - rzekł ostro. Gdy się schylił, Darrel podał mu latarkę, a Vyne skierował jej światło na spulchnioną ziemię rabatki. Tłuszcioch nachylił się z zaciekawionym, bo na rozkopanej ziemi ukazały się w świetle liczne pomieszane ślady. Antoni obejrzał je dokładnie zanim przemówił.

- Hm - mruknął do siebie - morderca szedł pierwszy, a włóczęga za nim.

- Jak tego doszedłeś? - Spytał zaciekawiony Darrel.

- Obejrzyj buty zabitego, to zobaczysz, że ma obuwie prawie nowe z kwadratowymi nosami, a tu przecież wszędzie kwadratowe buty pokrywają ślady obuwia mordercy, które są znacznie węższe i dłuższe.

Widocznie zbrodniarz przeszedł pierwszy, a ten biedak za nim; ale w jakim odstępie czasu, trudno oczywiście orzec.

- Ale co ten włóczęga mógł robić w rosarium? - spytał Darrel.

- To mnie właśnie zaciekawia - rzekł Vyne. - Jeżeli morderca jest naszym wczorajszym znajomym, to nie trudno się domyślić co tu robił, ale obecności zabitego obdartusa zupełnie sobie nie umiem wytłumaczyć.

- Może śledził Czarnego Garbusa? - podał Jack.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby tak było, bo innego powodu nie mogę doprawdy wynaleźć - zgodził się Vyne - ale nic już teraz nie mów - dodał szybko - zdaje się, że nasz przyjaciel inspektor się zbliża.

Okazało się, że miał rację, bo w chwilę później krótka, otyła figurka inspektora idąca w towarzystwie drugiego pana ukazała się na schodkach wiodących do rosarium.

- Co za okropna, straszna awantura! - wołał inspektor podbiegając do Vyne'a. - Znów morderstwo i to o niespełna sto jardów od tamtego. Co to za człowiek, panie Vyne? Czy pan się domyśla?

Reporter wstrząsnął głową.

- Nie mam najmniejszego pojęcia inspektorze - odrzekł. - Wygląda na włóczęgę.

- Włóczęga! - krzyknął Porson. - To zabawne! dziś wieczór właśnie wypytywał mnie pan o „podróżnych”.

Antoni nic nie odpowiedział, a doktor przy świetle latarki dokonał powierzchownych oględzin ciała.

- Śmierć musiała być momentalna - oznajmił w krótką chwilę potem. - Nie żył już, zanim się przewrócił. Kula weszła lewą skronią, przebiła mózg i wyszła akurat u podstawy czaszki.

- Czy są jakie szczególne znaki, według których można by go rozpoznać?
- spytał inspektor.

- Zrewidowałem mu już kieszenie, ale nie ma nic przy sobie - rzekł Antoni - oprócz pół paczki papierosów i pudełka zapalek.

- Hm... - mruknął inspektor, drapiąc się po głowie, co było jego ulubionym ruchem. - To nam niewiele pomoże. Ciekaw jestem, co on tu robił?

Pewno szukał okazji, żeby się włamać do pałacu.

- Jakieś fatum zdaje się prześladować tę miejscowość - przerwał doktor, powstając z klęczek.

- Najpierw biedny Travis, a teraz ten nieszczęśliwy.

No, zdaje się, że dziś już niczym nie mogę służyć, inspektorze. Raport odeślę wam później na posterunek.

Dobranoc panom!

Odchodził już, gdy inspektor zawołał za nim: - Jak pan będzie mijał posterunek doktorze, może pan tam krzyknie, żeby mi przysłali ambulans.

- Dobrze, powiem - odpowiedział doktor już ze schodków i po chwili zniknął w cieniu krzaków, - No i cóż, panie Vyne - rzekł inspektor, gdy zostali sami. - Co pan na to wszystko powie?

- W tej chwili nic jeszcze nie mogę powiedzieć - szczerze odrzekł Antoni.

- Szerzy się tu teraz prawdziwa epidemia morderstw, prawda? - ciągnął

dalej Porson, kręcąc swą wielką głową. - Panu to mogę powiedzieć, że po wsi chodzą różne niesamowite wieści.

- O! - zawołał z nagłą ciekawością reporter - jakież to wieści?

- Po pierwsze - odpowiedział inspektor - mówią, że ten duch Langleyów znowu się ukazał. Kilka osób go widziało. Podobno Travis także go widział na trzy dni przed śmiercią. Mogę panu powiedzieć, że we wsi panuje formalna panika i nikt by tu za nic nie przyszedł po ciemku - nawet za sto funtów!

- Naturalnie - pomyślał Vyne - stary Edwards musiał naplotkować.

- A po drugie - ciągnął dalej Porson - rozeszło się po okolicy, że coś się stało z sir Owenem.

- Nie powinien pan dawać wiary wszystkiemu co gadają, inspektorze - mruknął Antoni. - Sir Owena rzeczywiście tutaj nie ma, ale nie wątpię, że wkrótce wróci.

- Nie mówię, żebym sam wierzył w te wszystkie gadki - szybko zaprzeczył Porson - ale pan wie, co plotki mogą, zwłaszcza w takiej okolicy jak nasza.

Gdyby pan zechciał poczekać tu chwilę na mnie, pobiegnę tylko do pałacu i zatelefonuję na posterunek, żeby się upewnić, co do ambulansu.

- Dobrze, inspektorze - rzekł Antoni i Porson pobiegł szybko pod górę.

- Zdaje się, że już zdążyła rozejść się pogłoska o zniknięciu sir Owena - zauważył Darrel, gdy tylko policjant nie mógł ich już słyszeć.

- To się nie mogło ukryć, stary - odrzekł Vyne.

- Służbie nie ma sposobu zamknąć ust. Mnie to nawet dziwi, że się wcześniej nie rozniosło.

Zamilkł, a Darrel wstrzymał się od dalszych uwag.

Wiedział, że przyjaciel rozmyśla teraz nad tajemniczym zabójstwem włóczęgi i stara się dopasować ten ostatni fakt do pozostałych wypadków, z których składa się problem. Antoni był zupełnie wyprowadzony z równowagi szybkością, z jaką po sobie następowały.

Co to był za nędzarz i dlaczego go zamordowano?

Łachmany nie były na pewno żadnym przebraniem - o tym przekonał się reporter przy oględzinach ciała.

Myśl jego przerwał szelest kroków na trawniku - szybko odwrócił się w stronę schodków, skąd biegł wzburzony kamerdyner Hume. Starzec wydał mu się w najwyższym stanie podniecenia. Głos jego brzmiał ochryple.

- Czy to pan tam stoi, panie Vyne? - spytał. - Inspektor Porson powiedział mi właśnie, że zabili jakiegoś... jakiegoś... „podróżnego”. Czy to prawda?

- Stał obok reportera i nawet w bladym świetle księżyca Antoni mógł dostrzec, że ma twarz zbiełałą i ściągniętą, a pięści zaciśnięte, jakby pod wpływem intensywnego wzruszenia.

- Wszystko prawda, Hume - odrzekł spokojnie.

- Czy mogę... - Hume zawahał się i zdawał się z największą trudnością wydobywać słowa - czy mogę zobaczyć ciało?

Antoni bez słowa poprowadził go do leżącego trupa i skierował światło latarki na zwróconą ku niebu twarz zmarłego.

- Boże! Boże! - jęknął stary, wśród łkań, które wstrząsały nim jak burza. - Jim! Jim! Jim!

Antoni pochylił się i z dobrocią położył rękę na dygocącym ramieniu starca.

- Uspokójcie się, Hume, trzeba się opanować...

Czy znałeś tego człowieka?

Kamerdyner zwrócił ku niemu twarz i spojrzał nieprzytomnie. Antoni widział, jak łzy strumieniami płyną mu po starczej twarzy. Na zadane pytanie nic nie odpowiedział.

Vyne przeczekał chwilę, by dać mu czas zebrać myśli, a potem przemówił znowu.

- Lepiej bądźcie ze mną zupełnie szczerzy, Hume - rzekł łagodnie. - Kto to jest?

Wargi starego poruszyły się, ale trwało jeszcze pewien czas, zanim zdołał coś wymówić.

- To mój syn!- wybuchnął wreszcie.

Zdumienie Antoniego i Darrela nie miało granic.

Reporter spodziewał się jakiegoś odkrycia - ale nigdy tego. Taka więc była tajemnica, otaczająca pobyt włóczęgi w sąsiedztwie, i ten obdarty, nędzny wyrzutek społeczeństwa okazywał się synem domownika Langley Towers!

- Co on tu robił i dlaczego ukrywał się w tej chatce w lesie? - spytał Antoni, gdy tylko ominęło go pierwsze zdumienie.

Hume nadludzkim wysiłkiem zdołał się już opanować.

- Sam nie wiem, po co tu przyszedł - mówił, trzęsąc się ciągle - ale powiem panu, dlaczego się krył w tym szałasie. Teraz już mu to nie zaszkodzi.

Chwiejąc się, wstał z klęczek, a Darrel podtrzymał go pod łokieć.

- Czy słyszał pan kiedy o złodzieju, zwanym Soapy Davis? - zapytał po krótkiej pauzie, wciąż dygocąc.

Vyne wzdrygnął się.

- Mówicie o tym kasiarzu - spytał prędko - który stąd otrzymał taki przydomek, że miał zwyczaj wszelkie odciski zamków bankowych i hotelowych brać na mydle.

Hume skinął białą głową.

- To był mój biedny Jim - rzekł ze smutkiem. - Przecież na śledztwie i tak wszystko się wyda.

Ale zdawało mi się, że ten Davis siedzi w więzieniu - rzekł reporter.

Starzec popatrzył chwilę na nieruchomą postać leżącą u jego stóp, po czym zwrócił się do Vyne'a.

- Siedział, proszę pana - rzekł nieomal szeptem - ale tydzień temu udało mu się uciec i przyszedł tu do mnie. Wiedział, że służę u sir Owena. Jim był taki wariat - ale nie był do gruntu zły. Widzi pan, matka odumarła go, gdy jeszcze był berbeciem i potem dostał się w złą kompanię. Naprzód wciągnęli go do tej

wyścigowej szajki i od tego wszystko złe się zaczęło. Przez kilka lat zupełnie straciłem go z oczu i nie wiedziałem gdzie się obraca, aż przyszedł list z więzienia. Potem, kiedy się tu przywłókł pół żywy z głodu i zmęczenia, pomagałem mu jak mogłem. Wiedziałem, że chatka węglarzy w Colethorpe Woods jest opuszczona i nikt tam nie zagląda i myślałem, że może tam uda się go ukryć i przeczekać, póki pogoń i poszukiwania nie zwolnieją.

Obiecał mi, że o ile wydobędzie się za granicę - rozpocznie nowe życie. Widzi pan - cokolwiek z niego wyrosło, ja widziałem go zawsze takim, jak go pamiętam, najukochańszym bębniem, którego huśtałem na kolanach! - Głos Hume'a się załamał i kamerdyner zaczął połykać łzy. - Chyba mnie pan nie potępia? kończył, jakby uniewinniając się.

Antoni oparł rękę na szerokich plecach starego.

- Nie Hume, wcale was nie potępiam - rzekł ze współczuciem w głosie. - Myślę, że gdyby na mnie to przyszło, postąpiłbym tak samo jak wy. Powiedzcie no mi, czy ktokolwiek wie o tym wszystkim prócz mnie i was?

- Nie, panie - odrzekł Hume. - Zawsze udawałem przed ludźmi, że syn umarł mi gdzieś za granicą.

- Więc jeśli posłuchacie mojej rady, zostaniecie przy tym twierdzeniu - rzekł reporter. - Oszczędzi to wam wiele niepotrzebnych zmartwień, bo, po prawdzie, nic dobrego dla nikogo z rozjaśnienia tej sprawy nie wyniknie. Może, ściśle rzecz biorąc, doradzam ukryć przestępstwo - jednakże, okoliczności zdają się mnie usprawiedliwiać.

Hume spojrzał na mego z wdzięcznością.

- Dziękuję panu - rzekł prosto. - Widzę, że pan rozumie.

- O jedno tylko chciałbym was jeszcze spytać - powiedział po chwili Antoni. - Czy nie znacie powodów, dla których go zamordowano?

Hume potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia - odrzekł. - Może zabił go ten sam, co i leśniczego Trávisa.

- Bo jego przyjście do rosarium już się wyjaśniło - wtrącił Darrel. - Pewno szukał sposobności, żeby się z wami zobaczyć.

- Myślę, że się pan myli, jeżeli bez obrazy wolno tak powiedzieć - rzekł kamerdyner. - Święcie mi obiecał, że nie zbliży się do pałacu. Zresztą byłoby dla niego za wielkie ryzyko, żeby go miał kto poznać.

- Czy jesteście pewni, że nie miał on nic wspólnego z zabójstwem Trávisa i zniknięciem sir Owena? - spytał Antoni.

- Najpewniejszy, panie - odrzekł Hume z przekonaniem. - Biedny Jim był nic dobrego, temu nie można zaprzeczyć, ale nie byłby nikogo zamordował.

Pamiętam też, że od dzieciaka miał wstręt do wszelkiej palnej broni.

Vyne kiwnął głową.

- Zdaje się nawet (tak, przypominam sobie), że Davis znany był z tego, że nigdy nie miewa przy sobie broni - zauważył. - Myślę też... - nagle urwał - oto powraca Porson - szepnął. - Ani słowa!

Inspektorowi towarzyszyli dwaj policjanci z lekkimi noszami.

- Przepraszam, że tak długo siedziałem, panie Vyne - tłumaczył się. - Nie mogłem doczekać się połączenia, posterunek był ciągle zajęty.

W milczeniu patrzyli wszyscy, jak szczątki zabitego więźnia składano na nosze, gdy go zabierali, Hume uczynił jakiś ruch, ale Vyne zatrzymał go, kładąc mu ostrzegawczo rękę na ramieniu.

- Mam nadzieję, że zawiadomi mnie pan, o ile pan coś nowego odkryje, panie Vyne - rzekł Porson, odchodząc. - Gdybym potrafił wyjaśnić te dwie zbrodnie, okryłoby mnie to sławą!

- Zdaje się, że mogę już panu teraz coś powiedzieć - rzekł reporter. - Udało mi się rozpoznać ciało.

Inspektor Porson zatarł radośnie tłuste rączki.

- Któż to był? - zapytał.

- Przypuszczam, że się okaże, iż jest to zbieg z więzienia, znany jako Soapy Davis - spojrzął z pod oka na Hume'a. - Poznałem go, podczas gdy pan

był przy telefonie.

- To wielka pomoc dla mnie! - zawołał inspektor. - Bardzo panu dziękuję, panie Vyne!

Odszedł w ślad za policjantami, niosącymi zwłoki nędzarza.

Wracając po chwili przez trawnik z Darrelem i kamerdynerem, Antoni zamyślił się głęboko. Na połowie drogi do pałacu zatrzymał się i zawrócił.

- Gdzie idziesz? - zapytał Darrel, widząc, że przyjaciel wraca tam, skąd przyszli.

- Zaraz wrócę, stary, chciałem jeszcze tylko coś zobaczyć.

- Iść z tobą?

- Nie - zawołał Vyne - idź do pokoju i posiedź z panną Langley. Ona jeszcze nie wie co się stało. I niedobrze, że tak sama siedzi, gdy już ciemno na dworze.

Zawrócił do rosarium; gdy doszedł do miejsca, gdzie po znakach na murze odnalazł drogę, którędy zbieg i jego zabójca weszli do ogrodu, zatrzymał się pod murem, a potem odsunął się o parę jardów na prawo. Nagłym szybkim ruchem wciągnął się na wierzchołek muru i przesadził go.

W następnym momencie, obsunął się z drugiej strony i znalazł się w Home Covert. Stanął i strzepnął kurz z ubrania; potem szedł wolno pod murem, aż trafił do miejsca, którędy tamci dwaj dostali się do ogrodu.

Wyciągnął z kieszeni latarkę, którą schował tam po obejrzeniu zwłok Davisa i skierował jej światło na ziemię. Po chwili wyrwał mu się okrzyk zawodu.

Spodziewał się znaleźć tam jakieś ślady, które objaśnią go co do mordercy owego włóczęgi, ale po tej stronie muru grunt był twardy i kamienisty i nie zachował żadnych znaków. Oświecił latarką całą ziemię w pobliżu i zatrzymał światło na małym zagłębieniu pod drzewami, gdzie ziemia zdawała się wilgotniejsza. Zwrócił się w tę stronę i znalazł tam nareszcie to, czego szukał: dokładny odcisk długiej, wąskiej podeszwy.

Był on identyczny z tymi, które widział po drugiej stronie muru. Odcisk nogi mordercy. Nieco dalej znalazł Antoni taki sam drugi, ale tu był po części pokryty śladem kwadratowo zakończzonego buta, który należał do więźnia Davisa. Miał więc wyraźny dowód, że to włóczęga szedł w ślady człowieka o wąskim obuwiu. Reporter powoli szedł za śladami, które zagłębiały się w las. Grunt stawał się coraz wilgotniejszy, a znaki wyraźniejsze. Nagle wydostał się na polankę między drzewami, gdzie ziemia znów była twarda i kamienista i wszelki ślad się zatracił. Szukał go we wszystkich kierunkach, ale nie znalazł już żadnego odbicia, ani kwadratowych podeszew, ani szpiczastych.

Nagle znieruchomiał i zagasił światło; uszu jego doszedł lekki szmer pochodzący z gęstwiny przed nim.

Antoni prędko usunął się za gruby pień drzewa i nastawił uszy. Nie mylił się. Ktoś przedzierał się tuż przed nim przez leśne podszycie. Nie mógł to być żaden kłusownik (reporter przypomniał sobie słowa Porsona, że obecnie nikt z wieśniaków nie poszedłby do lasu w stronę Langley Towers nawet za sto funtów).

Mógł to być chyba który z leśniczych, ale w tej porze roku nie wydawało się to prawdopodobne. Czekał - a szmery zbliżały się ciągle. Czyż będzie to tajemniczy gość w przebraniu - Czarny Garbus? Żyły Antoniego przebiegł ogień na myśl wzięcia się za bary ze straszylłem. Szmer nagle ucichł, jakby tamten również nasłuchiwał; po krótkiej chwili kroki znów się odezwały.

Księżyc był już wysoko, a gdzieś daleko wśród drzew wąski promień przedostał się przez gałęzie i oświecał pod nimi małą, zarosłą trawą polanę. Czy aby nocny włóczęga przejdzie przez ten oświetlony punkt?

O ile reporter mógł sądzić z odgłosu stąpań, nieznajomy szedł właśnie w tym kierunku. Antoni Vyne nie spuszczał z oczu oświetlonej księżycem przestrzeni.

Sekundy mijały powoli, a dla czekającego zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Chyba tamten minął już oświetlone miejsce? Antoni był już

prawie pewien, że tak się stało, gdy nagle ujrzał go wyraźnie oblanego srebrnym światłem. Szczęki reportera zwarły się silnie, a pięści zacisnął bezwiednie z taką siłą, że paznokcie wpiły się w ciało.

Niewyrośnięta, bezkształtna figura! Postać karła okryta hebanową opończą, która czerniła się matowo w promieniach księżyca. Czarny Garbus! Zamiast twarzy miał bezkształtną białą plamę i sunął szybko w skurczonyj postawie. Minąwszy oświetlony punkt znikł w ciemnościach.

Antoni momentalnie puścił się za nim w pogoń.

Zupełnym przypadkiem zdarzyła się tu możliwość pochwycenia tajemniczego ducha, który nawiedzał Langley Towers i reporter przysięgał sobie, że tym razem nie da się wywieść w pole. Szybko i bezszelestnie zaczął biec za postacią w czerni.

Wężykiem przemykał się między drzewami, które wkrótce zaczęły się przerzedzać; za chwilę obaj wydostaną się na odkryte pole. Widział już przed sobą kamieniołomy oddalone nie więcej jak o jakieś sto jardów. W tejże chwili nadepnął suchą gałązkę, która z trzaskiem złamała się pod jego ciężarem. Postać biegnąca przed nim stanęła, obejrzała się i spostrzegła go. Błyskawicznym pędem puściła się na skraj lasu i stamtąd na przyległy pas łąki.

Antoni, widząc, że dłużej nie może się ukrywać, jak strzała skoczył za nią. Ale człowiek, za którym gnał, pędził jak wichur. Wyprostował się teraz na widok reportera i okazało się, że jest to dosyć wysoki mężczyzna. Pędem biegł przez łąkę, skacząc długimi susami, a za nim powiewała czarna opończa. Obaj znajdowali się już na otwartej przestrzeni i Antoni nabrał tu nowego rozmachu. Po trochu, cal po calu, zaczął doganiać uciekającego pseudoducha, ale mimo że świetnie wytrenowany był w biegu, czuł już zmęczenie. Nawet jego wspaniale wysportowane mięśnie nie mogły na dłuższą metę wytrzymać tego zawrotnego tempa. Dzielilo ich już teraz nie więcej jak pięćdziesiąt jardów i Antoni zrobił ostatni, nadludzki wysiłek. Wprost zdawał się lecieć nad ziemią. Nagle człowiek, którego gonił, potknął się i padł jak długi.

Zanim zdołał się podnieść, już Vyne siedział na nim i przygwoździł go do ziemi. Nieznajomy walczył jak szalony, by się oswobodzić, ale Antoni wykręcił mu ręce i bezradnego trzymał w chwycie jiu-jitsu.

- A teraz, mój przyjacielu, muszę ci się przyjrzeć - mruknął ponuro. Przewrócił go na wznak. Twarz owiązana była białą, jedwabną chustą. Antoni zdarł ją nagłym szarpnięciem i... krzyknął ze zdumienia.

Bo twarz, którą odkrył, była twarzą Franka Cunninghama.

XII. Jama po żwirze.

- Wielkie nieba! - dyszał Cunningham - toż to pan Vyne!

Antoni na parę sekund oniemiał ze zdziwienia. To było nie do wiary, Frank Cunningham udawał Czarnego Garbusa! Musiał jednak wierzyć własnym oczom, nie mogło być inaczej, i cała zbudowana przez niego teoria rozpadała się w gruzy!

- Już dobrze, panie Vyne - ciągnął dalej młodzieniec, dysząc przygnieciony ciężarem Antoniego - może mnie pan puścić! - Gdybym był wiedział, że to pan, nie byłbym uciekał. Myślałem, że to tamten.

- Co za tamten? - spytał reporter, rozluźniając po trochu chwyt, ale czujny, żeby Cunningham nie mógł się nagle rzucić do ucieczki.

- Człowiek, którego śledziłem - odrzekł Frank, siadając i trąc sobie ramię, zdrętwiałe od uścisku Antoniego. - Chyba pan nie przypuszcza, że to ja jestem Czarny Garbus - co?

Vyne przyjrzał mu się badawczo, ale szczerść spojrzeń tamtego nie była udana i po paru sekundach zastanowienia, Antoni nabrał przekonania, że jakiegokolwiek okaże się rozwiązanie zagadki, Cunningham mówi prawdę.

- Co za pomysł tej maskarady? - pytał wskazując na czarną opończę, w którą Cunningham był owinięty.

- Pozwól mi pan wstać, to wytłumaczę - rzekł Frank z żalonym uśmiechem. Podniósł się z ziemi jednocześnie z reporterem.

- Fe! - zawołał prostując nadwyreżone mięśnie. - Byczym chwytem mnie

pan wziął! Ma pan papierosa? Moje zostały w ubraniu.

Antoni podał mu papierośnicę, a gdy Cunningham zapalił, zrobił to samo.

- A teraz - rzekł, puszczając wielki kłęb dymu - gadaj pan!

- A więc - zaczął Cunningham, idąc z Antonim po łące - gdy mi Darrel wczoraj opowiedział o napaści na Paulinę, postanowiłem sobie zabawić się w detektywa własnym przemysłem. Pomyślałem, że na dworze będę miał większą szansę schwytania ptaszka, niż wy, siedzący w domu. Chciałem naprzód powiedzieć panu, co zamyślam zrobić, ale bałem się, że nie pozwoli mi pan działać na swoją rękę.

- Na pewno nie byłbym pozwolił - przerwał Vyne. - Przecież narażał się pan na jego strzały.

- Dlatego też zdecydowałem się nic panu nie mówić - ciągnął dalej Cunningham. - Przyszło mi potem do głowy, że jeżeli zobaczy mnie kto z policji, albo kto inny znajomy w pobliżu Langley Towers, będzie mi trudno wytłumaczyć moją obecność i chwyciłem się pomysłu, który wydał mi się wspaniały.

Przyszło mi do głowy, że jeżeli ucharakteryzuję się na Czarnego Garbusa, to choćby mnie kto zobaczył, nie będzie zbyt dokładnie sprawdzał mojej tożsamości.

Miałem w domu tę opończę, pamiątkę jakiegoś amatorskiego teatru na wsi, w którym występowałem w święta Bożego Narodzenia - wymknąłem się więc w przebraniu tyłami i przez las wybrałem się do Langley Towers. Uważnie rozglądałem się i wsłuchiwałem, czy nie napotkam prawdziwego Garbusa i, jako żywo, widziałem go!

Antoni przystanął z płonącymi ciekawością oczami.

- Widział go pan? - powtórzył.

- Widziałem, ale nie w przebraniu.

- A czy poznałby go pan? - wołał reporter podnieconym głosem.

Cunningham potrząsnął głową.

- Nie - odrzekł - nie mogłem się zbliżyć na tyle, żeby rozróżnić rysy twarzy. Idąc do Langley Towers usłyszałem strzał i przyspieszyłem kroku, żeby się przekonać, co tam zaszło - gdy nagle mignął mi się nasz Garbus, który uciekał z okólnika. Tajemniczość jego ruchów utwierdziła mnie w pewności, że to właśnie ten, którego poszukuję. Postanowiłem go więc śledzić i odkryć dokąd idzie. I... zdaje mi się, że znam już jego kryjówkę...

Nagle urwał i syknął z bólu.

- Co się stało? - zapytał Vyne.

- Obawiam się, że mam nogę zwichniętą w kostce - odparł młodzieniec. - Pewno, kiedy wpadłem w tę dziurę na łące. Na razie nie bolało, a teraz zaczyna piekielnie rwać. Zgodzi się pan odpocząć tu chwilkę, panie Vyne?

Doszli właśnie do połamanego ogrodzenia, które oddziało łąkę od sąsiedniego uprawnego pola. Antoni zatrzymał się, a Frank wciągnął się na najwyższy szczebel płotu, podczas gdy reporter, stojąc, oparł się o słupek. Gdy tak siedział na wąskiej listwie w swych czarnych obcisłych spodniach i skórzanej kurtce, Frank wyglądał jak jakiś dziwaczny strach na wróble.

- Mówił pan - podpowiedział mu Antoni - że odkrył pan kryjówkę tajemniczego mordercy?

- Tak - odrzekł Cunningham. - Szedłem za nim przez pewien czas, byliśmy już w pobliżu Chiltern Hills. - Nie wiem, czy pan dobrze zna tutejszą okolicę.

O paręset jardów stąd jest wielka opuszczona jama po wybranim żwirze i człowiek, którego śledziłem, tam właśnie się kierował.

Vyne niesłuchanie był zaciekawiony. Młody Cunningham zrobił widać przypadkowo ogromnie ważne odkrycie. Reporter dawno już orzekł, że włóczęga musi mieć tu w pobliżu kryjówkę - bazę wszystkich wycieczek i miał zamiar przepytać się o jej domniemane położenie, ale fakty tak szybko następowały po sobie od rozpoczęcia całej sprawy, że planów tych nie mógł dotychczas wykonać.

- Gdy doszedł do wylotu jamy - ciągnął dalej Cunningham - gdzie jest łagodny spadek do wewnątrz, bo tamtędy wydobywano żwir, a po drugiej stronie jest niemal pionowa ściana do wierzchołka pagórka, zatrzymał się i obejrzał ostrożnie dokoła, żeby mieć pewność, że go nikt nie śledzi. Po chwili minął wierzchołek wzgórza i skierował się ku spadzistej stronie. Od lat już w tym miejscu nie kopią żwiru i tak wierzchołek, jak boki jamy, gęsto zarosły krzakami i zielskiem.

Zobaczyłem, jak wspinał się wśród krzewów, a potem nagle straciłem go z oczu.

Zatrzymał się.

- A nie widział pan, gdzie się schował? - spytał Vyne, którego umysł nie ustawał w pracy.

- Nie - odrzekł Frank, rzucając niedopałek papierosa. - Znikł mi nagle za grupą krzaków, mniej więcej na połowie drogi do wierzchołka.

- Hm - mruknął Antoni - robi to wrażenie, jakby za tymi krzakami było jakieś boczne wyjście z jamy lub szpara. Po co by człowiek wspinał się do połowy wzgórza, by kryć się tam za krzakiem?

- Ja też tak myślałem - zgodził się Cunningham.

- Chciałem iść za nim, ale w parę minut ukazał się znowu i zawrócił w stronę Langley Towers. Jakiś czas szedłem za nim, ale zgubiłem go w ciemności, już w pobliżu Home Covert. Tym razem zniknął mi najkompletniej. Kręciłem się tam długo, żeby trafić na jakiś ślad, ale bez rezultatu i wracałem zawiedziony do domu, gdy pana zobaczyłem. Zaraz pomyślałem, że to tamten z jamy, a gdy pan zaczął mnie gonić, przyznam że wziął mnie strach.

Roześmiał się, kończąc.

- A więc to tak było - uśmiechając się rzekł Antoni. - Mam nadzieję, że panu nie zrobiłem krzywdy. Nawet mi na myśl nie przyszło, że to może być pan. Muszę panu powinszować bardzo ważnego odkrycia. Przy pierwszej sposobności sam zbadam tę jamę po żwirze - a właściwie najlepiej nie zwlekać;

myślę że jeszcze tej nocy tam pójde.

- Na Boga, bądźże pan ostrożny! - radził Cunningham. - Ten Garbus to niebezpieczny osobnik i zdecydowany na wszystko.

- Ciągle mam z takimi do czynienia - rzekł Antoni ze smutnym uśmiechem.

- Lepiej już sam pójde z panem - rzekł młody człowiek, zesuając się z ogrodzenia, ale gdy skręconą nogą dotknął ziemi, syknął znowu z bólu i gdyby nie pomoc Vyne'a, byłby upadł.

- Najlepiej pan zrobi, idąc do łóżka z zimnym kompresem na kostkę - radził reporter. - Nie myśl pan nawet o tym, żeby mi towarzyszyć; z taką nogą to zupełnie niemożliwe.

Mimo protestów tamtego, Antoni postawił na swoim. Cunningham pozwolił mu odprowadzić się do domu, wspierając się ciężko na jego ramieniu. Kiedy doszli do wjazdowej bramy, Antoni perswazją skłonił go, żeby wskazał mu drogę do owej jamy.

Po długich naradach i sporach Frank ustąpił i wytłumaczył mu, jak się tam udać. Vyne zostawił go kuśtykającego przez krótki zajazd do frontowych drzwi, a sam zawrócił ku starej kopalni żwiru, na Chiltern Hills.

Było to dosyć daleko od dworu i miał czas, idąc, rozważyć wieczorne wypadki i według nich skoordynować swe myśli. Jedna zagadka była nareszcie rozwiązana: tożsamość tajemniczego włóczęgi, którego obecność niepokoiła go podwójnie, bo żadną miarą nie dała się pomieścić w hipotezie, jaką w myśli zbudował z innych faktów tej sprawy.

Niewytłumaczonym pozostał jedynie powód dokonanego na nim morderstwa i jego obecność w rosarium. Czyż było możebne, żeby włóczęga pierwszy odkrył kim jest Czarny Garbus, i żeby to morderstwo popełnione było dla zapewnienia sobie jego milczenia?

Tłumaczyłoby to fakt, że szedł on do rosarium za swym mordercą, co zdradziły Antoniemu ich pokrywające się ślady. Ale zostaje jeszcze zabójstwo

Travisa, zniknięcie sir Owena i nieudane porwanie Pauliny Langley, a Vyne pochlebiał sobie, że i tę część zagadki ma już rozwiązana. Wierzył, że zna tożsamość człowieka, który przebiera się za Czarnego Garbusa. Pierwszą pobudką do posądzeń stała się fotografia na salonowym kominku, a poszukiwania w Londynie wzmocniły jego podejrzenia, choć może nie dały jeszcze dostatecznego dowodu.

Idąc szybko wśród nocnego chłodu, Antoni czuł w sobie ten dziwny rozrost pychy, która ogarniała go zawsze, gdy doprowadzał do końca specjalnie zawiązaną sprawę. Tryumf nie był osobisty. Vyne spełniał swą pracę zupełnie altruistycznie i wszelka zarozumiałość była obca jego naturze. Ktoś, kto go nie znał, mógł brać za zarozumiałość zwyczaj zatrzymywania przy sobie czas jakiś swoich odkryć.

Ale tak nie było. Był to wrodzony odruch artysty, który chce zaprodukować skończone i doskonale dzieło.

Dlatego to Antoni sprawdzał i próbował tak starannie każdą swoją teorię, zanim ją publicznie ogłosił w gazecie, a czasem nawet Darrelowi nie wyjawiał dróg, jakimi dochodził prawdy, póki nie wykończył sprawy ku swemu pełnemu zadowoleniu.

Tłuszcioch przyzwyczajony był do nawyczek przyjaciela i rzadko kiedy się dopytywał, chyba że Vyne sam mu się zwierzył. Wiedział, że gdy nadejdzie pora, i ani minuty wcześniej, sam reporter opowie mu wszystko.

Po jakichś dwudziestu minutach szybkiego marszu, Antoni dotarł do celu wędrówki. Nie mógł się omylić co do jamy. Była wygrzebana w zboczu pagórka, jakby ktoś wyjął ziemię olbrzymią łyżką. Brzegi a nawet zbocza zagłębienia, pokryte były gęstwiną zielska i cierni. Antoni zwolnił kroku, dochodząc do spadzistej krawędzi, która ciągnęła się od wierzchołka wzgórza i ostrożnie zaczął spuszczać się po pochyłości, starając się korzystać z każdego schronienia napotkanego po drodze. Nie łudził się co do typu rzezimieszka, z którym miał się zmierzyć i wiedział, że dla tamtego jedno życie mniej, jedno

więcej - niewiele znaczy. Wszak nieledwie w oczach Antoniego zabił już dwóch ludzi, a przecież i strzał do niego samego na drodze, był uplanowanym morderstwem. Doszedł na dno jamy i przystanął, by zapoznać się z otoczeniem. Przed nim wznosiła się prostopadła ściana, o której mówił Frank Cunningham, a na połowie jej wysokości, zobaczył gęstsze krzaki. Za nimi, według słów Franka, znikł ów nieznajomy.

Teraz, z bliska, zobaczył jeszcze coś więcej.

Kiedyś w przeszłości, zapadła się część pagórka i utworzyło to naturalne schody, wiodące aż pod te krzaki. Upewniwszy się o nich Antoni sunął znów naprzód od krzaka do krzaka, aż dosięgnął kupy zwałów, stanął na osypisku i nasłuchiwał. Noc była niesłychanie cicha i najłżejszy szmer nie doszedł jego uszu. Cały świat zdawał się pogrążony we śnie.

Reporter zaczął wstępować po kamieniach ku górze.

Nie było to takie łatwe, jak się zdawało, i chcąc dosięgnąć następnego stopnia, musiał często robić skoki, które nawet od jego długich nóg wymagały wysiłku. Wreszcie znalazł się na wąskim występie tuż poza gęstwiną krzaków. Znów stanął i słuchał. Żaden odgłos nie przerywał ciszy. Przemknął się wzdłuż występu za krzakami i tu natrafił na wąski otwór w zboczu pagórka. Szpara była zupełnie ciemna i miała zaledwie trzy stopy szerokości. Antoni ostrożnie wszedł do środka, wiodąc rękami po ścianach. Przebył tak ze dwa jardy, gdy ręka jego trafiła w próżnię. Widocznie korytarz rozszerzał się. Lekki szmer z wewnątrz zaniepokoił go, lecz w tej chwili gdy już miał zawrócić, coś z miazdzącą siłą zważyło mu się na głowę i padł jak kłoda.

XIII. Człowiek w więzach.

Antoni przebudził się z omdlenia z jękiem zduszonym w gardle przez knebel rozsadzający mu szczęki. Leżał w zupełnej ciemności. Głowa pulsowała mu boleśnie, jakby w mózgu waliło tysiące młotów.

Gdy wreszcie oczy przyzwyczyły się do ciemności, dojrzał, że tuż przed nim rozciąga się nieznaczny, szarawy pas światła. Sekundę zastanawiał się skąd

by mogło pochodzić, zanim pojął, że były to pierwsze promienie świtu, wnikające tu przez ciasne wejście.

Spróbował odwrócić głowę, ale doznał tak mdlącego bólu, że zamknął oczy i dalej leżał bez ruchu.

Po pewnym czasie ostry ból przycichł. Antoni zaczął myśleć. Ktoś najwidoczniej czekał na niego w ciemnościach u wejścia tego korytarza. Dojrzeli go kiedy szedł zwirową jamą, a może śledzili już od rozstania z Cunninghamem, bo kimkolwiek był, ten co go napadł - czekał przygotowany na jego przyjęcie.

Antoni wściekły był na siebie, że tak łatwo wpadł w pułapkę.

Ból w głowie słabł po trochu i reporter zaczął interesować się tym, co go otaczało, o ile mógł wiedzieć w głębokim mroku, który tu panował. Pas światła przy wyjściu poszerzał się i korytarzem zaczął przedostawać się do jaskini. Antoni spróbował poruszyć skrępowanymi członkami i zrozumiał, że ręce i nogi ma silnie związane. Ktokolwiek tego dokonał, znał się doskonale na robocie, bo reporter mimo wysiłku, ani na cal nie mógł rozluźnić więzów. Leżał znów cicho, wodząc tylko oczami dokoła. Przyzwyczyły się już do półcienia i mógł dojrzeć niewyraźne kontury przedmiotów, które go otaczały. Leżał w szerokiej niskiej jaskini, wyciosanej w twardej ścianie wzgórza.

Nie umiał określić jej głębokości, bo część pozostawała pogrążona w cieniu. Na wprost miejsca, w którym Antoniego położono, był barłóg ze świeżej słomy, a obok leżało parę poskładanych der. Nieco dalej stała stara, nadgniła skrzynka, a na niej parę ogarków świecy i kilka puszek po konserwach. Było to bez wątpienia tymczasowe legowisko tajemniczego mordercy. Antoni zastanawiał się, gdzie ten mógł pójść o tej porze i jak długo potrwa, zanim tu wróci.

W tej chwili ciszę przerwał stłumiony jęk! Zdawał się rozbrzmiewać tuż za nim. Antoni spróbował odwrócić głowę ale po paru bezskutecznych próbach przekonał się, że jest to niemożliwe. Jęk powtórzył się.

Zdecydowany dowiedzieć się, skąd głos pochodzi - reporter spróbował całym ciałem przeturlać się w jego stronę po ziemi. Trudne to było zadanie wobec ciasnych więzów, które go krępowały; udało mu się jednak przekręcić w promieniu około czterech stóp.

Widział teraz przeciwległą ścianę jaskini, która poprzednio znajdowała się poza jego głową.

Tuż pod ścianą leżała jakaś postać, owinięta w coś fioletowego, związana tak samo jak on i z zakneblowanymi ustami. Reporter zdumiał się, bo po kolorze odzienia poznał natychmiast, że leży tam zaginiony sir Owen!

A więc sprawdza się hipoteza, którą ułożył w myśli!

Około dwóch jardów dzieliło jeszcze reportera od sir Owena Langleya i Antoni wyteżył siły, by turlając się przebyć tę przestrzeń. Cierpiał niesłychanie przy tych usiłowaniach, bo sznury, którymi był związany, wrzynały się głęboko w ciało przy najmniejszym ruchu.

Po długiej i ciężkiej pracy mięśni, dosięgnął jednak celu i znalazł się tuż koło leżącego. Sir Owen był zupełnie przytomny, bo oczy miał szeroko otwarte, a w głębi ich świecił wyraz niesłychanego zdumienia, gdy spoglądały na reportera.

Głowę baroneta otaczała krwią poplamiona chusta.

Antoni zaczął rozmyślać nad sposobem porozumienia się. Starał się rozluźnić knebel, poruszając szczęką, ale okazał się mocno zatkany. Nieznany zbrodniarz mógł się zjawić lada chwila i wtedy przepadnie wszelka szansa dowiedzenia się czegokolwiek od sir Owena.

Raz jeszcze spróbował rozluźnić swe więzy. Szarpał i rozciągał sznury, aż pokrwawił ręce i ponadrywał ścięgna - ale nic nie pomogło. Ręce sir Owena były wprawdzie przywiązane do boków, ale choć ciasno umocowane w kostce, miały palce swobodne. Gdyby Antoniemu udało się tak przekręcić, żeby głowa jego znalazła się koło jednej z tych rąk, może sir Owen mógłby rozplątać węzeł, który zaciskał mu knebel na ustach?

Reporter postanowił spróbować i znów rozpoczął swe wijące, węzowe ruchy. Gdy dosięgnął głową ręki tamtego, powstała nowa trudność, jak dać mu do zrozumienia, czego od niego oczekuje. Podniósł głowę i parokrotnie uderzył węzłem knebla po palcach baroneta. Sir Owen zrozumiał natychmiast o co chodzi, bo reporter poczuł szarpanie węzła, ale praca okazała się powolna. Antoni czuł powracające bóle w głowie umieszczonej w nienaturalnej pozycji. Nareszcie knebel zwolniał i reporter wydał jęk ulgi. W parę minut węzeł puścił zupełnie i Vyne wypluł zwiniętą chustkę, która wypełniała mu jamę ustną i rozdzierała szczęki. Usta miał poranione, język spuchnięty i parę sekund niezdolny był wymówić ani jednego słowa.

- Sir Owenie! - zaskrzeczał wreszcie - to ja, Vyne.

W wyrazie oczu baroneta odbiło się, że go poznaje.

- Spróbuję, może uda mi się rozwiązać pański knebel zębami - ciągnął dalej. Czy może pan odwrócić się bokiem do mnie?

Sir Owen z trudnością kiwnął głową i z niesłychanym wysiłkiem udało mu się przewrócić na bok.

Antoni wił się dalej węzowym ruchem, póki nie uzyskał dogodnej pozycji i wtedy zabrał się do węzła swymi białymi, zdrowymi zębami.

Krótko się z nim załatwił i w mniej jak dwie minuty sir Owen pozbył się knebla.

- O nieba! Vyne! - dyszał ochryple, odzyskawszy głos. - Jak się tu pan u diabła dostał?

Antoni objaśnił go w krótkości o swoim związku z całą sprawą.

- To dopiero łajdak! - wtrącił baronet, gdy reporter doszedł do napadu w celu porwania Pauliny. I nie przerywał mu już, aż Antoni skończył opowiadanie.

Zdaje się, że to ja zabiłem biednego Trávisa - rzekł sir Owen - choć mogę pana zapewnić, że stało się to przypadkiem.

- Był w krzakach, zaczajony na Czarnego Garbusa, gdy pan strzelił; chybił pan, ale kula dosięgła Trávisa, którego zabiła na miejscu - objaśnił

Antoni szybko.

Sir Owen popatrzył na niego w najwyższym zdumieniu.

- Skąd pan to wie? - spytał.

- Doszedłem do tego prostą dedukcją - odpowiedział reporter. - Strzał, który zabił leśniczego, pochodził bezwzględnie z pańskiego automatyku, który znalazłem w krzakach. Gdy tylko przekonałem się, że Travis nie był zastrzelony na okólniku, ale został tam przeniesiony w jakimś celu, już po śmierci; wiedząc przy tym, że panna Langley słyszała dwa strzały tej nocy, której pan zniknął, łatwo było odgadnąć co się stało. Sir Owenie - co to za jeden, ten osobnik, który przebiera się za Czarnego Garbusa i uwięził nas tutaj?

Baronet milczał.

- Zdaje mi się, że i jego tożsamość potrafię odgadnąć - ciągnął dalej Vyne - i upewniam pana, że powinowactwo nie powinno tu stać na przeszkodzie, żeby pan uczynił co tylko można dla postawienia szwagra przed sąd. Nie zapominaj pan, że ciąży na nim najokropniejsza zbrodnia - morderstwo!

- Więc pan wie? - jęknął sir Owen. - Tak, ma pan zupełną rację. Wszystkie te zbrodnie popełnił brat mojej pierwszej żony i jak pan słusznie powiedział, nie powinienem się chwili wahać, żeby oddać go w ręce sprawiedliwości. Zasłużył na najcięższą karę, bo w dodatku do innych zbrodni ma na sumieniu przedwczesną śmierć siostry, która umarła ze zgrzyoty.

Sir Owen przerwał i odchrząknął, bo głos mu uwiązł w gardle.

- Bardzo młodo ożeniłem się z moją pierwszą żoną, Mercią Fearon - ciągnął dalej. - Poznałem ją w Argentynie, będąc tam attaché naszej ambasady. Nie było na świecie miłszego stworzenia. Była uosobieniem słodczy - nawet wtedy, gdy brat jej, Geoffrey, doprowadzał ją do rozpacz swym nieokiełznanym życiem.

Wkrótce po ślubie wróciliśmy do Angli i wystarałem się dla Geoffreya o wcale dobrą posadę w biurze - spodziewaliśmy się, że się ustatkuje. Ale gdzież! Wkrótce dostał się w najgorsze towarzystwo, a w niespełna osiem miesięcy

uwięziono go za fałszywy podpis. Cios ten dotknął moją żonę wtedy, gdy jej delikatne zdrowie wymagało specjalnych ostrożności - nie wytrzymała go i umarła.

Głos załamał mu się, gdy mówił dalej.

- Ponieważ pierwszy raz był karany, więc skończyło się na względnie krótkim areszcie, ale zaledwie wyszedł z więzienia, dostał się tam na nowo, już pod ciężkim zarzutem obrabowania banku Western and Union i zamachu na życie nocnego stróża.

- Pamiętam tę sprawę - wtrącił Antoni.

- Wtedy zapadł surowy wyrok na Fearona - rzekł sir Owen - i muszę przyznać, że sprawiło mi to ulgę, bo jak był na swobodzie, czułem się do pewnego stopnia odpowiedzialny za niego.

Wkrótce potem ożeniłem się po raz drugi i osiadłem na stałe w Langley Towers. Zawsze bardzo mnie interesowała legenda o ukrytym skarbie i parę lat temu zabrałem się do pracy, chcąc wyjaśnić znaczenie wierszyka, który przodek mój, sir Hugo, zostawił jako drogowskaz do miejsca, gdzie ten skarb jest ukryty.

Parę tygodni temu, dostałem list od Geoffreya Fearona oznajmujący, że wypuszczono go z więzienia i żądający znacznej sumy pieniędzy; podał swój adres, gdzieś w Bloomsbury, ale ulicy nie mogę sobie już przypomnieć.

W głębi szarych oczu Antoniego zajaśniał nagle płomyk ciekawości.

- Czy zachował pan ten list? - spytał szybko.

- Tak - odpowiedział baronet - jest on zamknięty w kasie, w bibliotece. Posłałem mu wtedy małą sumkę, ale nie tyle ile żądał i namawiałem go, żeby wyjechał z kraju - bo to było najlepsze, co mógł zrobić.

Nie dostałem wtedy żadnej odpowiedzi. - Trzy dni temu wpadłem nagle na rozwiązanie zagadki tego skarbu. Było już bardzo późno, więc sprawdzenie moich domysłów postanowiłem odłożyć do dnia następnego. Kiedy jednak położyłem się do łóżka, przekonałem się, że zanadto podniecony jestem tym odkryciem, żeby usnąć. Przewracałem się przez długi czas w pościeli i wreszcie

postanowiłem wstać.

Stanąwszy w oknie, spostrzegłem, że coś się rusza na trawniku i w okalających go krzakach. Pomyślałem, że to może jakiś bandyta i chwyciwszy rewolwer, wybiegłem na dwór. Leciałem prosto ku krzakom i zobaczyłem pośród rododendronów jakąś przykucniętą postać w czerni. Gdy się zbliżyłem, podniosła rękę i światło księżyca odbiło się w lufie rewolweru. Wtedy strzeliłem, a jednocześnie ozwał się ostry krzyk i zaraz po nim, huk drugiego wystrzału. Zrobiło mi się czarno przed oczami i więcej nic nie pamiętam, aż znalazłem się tutaj ze związanymi rękami i nogami, a nade mną schylony stał Geoffrey Fearon.

Sir Owen zwilżył językiem zaschłe wargi i opowiadał dalej.

- Kula, która mnie dosięgła, drasnęła tylko lekko skórę na boku głowy. Mogłem mówić. Spytałem więc Fearona, dlaczego kręci się nocą dokoła Langley Towers, na co odpowiedział, że już od kilku dni jest w tej okolicy. Okazało się, że ma on jakiś powód, żeby się ukrywać. Zażądał ode mnie znacznego okupu, a gdy odmówiłem, powiedział, że będzie mnie więził póty, póki go nie otrzyma. Wiedział też wszystko o moich poszukiwaniach ukrytego skarbu.

- Jakże mógł się o tym już dowiedzieć? - spytał Vyne.

- Powiedział, że słyszał jak szofer rozmawiał z kamerdynerem o tym, że nareszcie rozwiązałem zagadkę owego wiersza. Rzeczywiście powiedziałem coś o tym Yeatsowi - nie robiłem sekretu, bo służba jest życzliwa i wszyscy oni wiedzieli, że pracuję nad odnalezieniem kryjówki tego złota. Fearon powiedział mi, żebym miał rozum i od razu przyznał się, gdzie się skarb znajduje, bo nikomu nawet się nie przyśni mnie tu szukać. Powiedział, że zainscenizował wszystko tak, żeby przypuszczali, że ukryłem się po zamordowaniu leśniczego. W kieszeni mojego szlafroka znalazł mały, złoty masoński znaczek, który wrzuciłem tam kiedyś, pokazując to cacko Cunninghamowi. Brelok ten włożył Fearon w rękę nieboszczyka, żeby tak wyglądało, jakby mi go ten wyrwał w

walce.

- Wiedziałem, że był mu włożony do ręki po śmierci - zauważył Antoni. - Palce otaczały go zupełnie luźno, a gdyby zerwały łańcuszek, musiałyby być zaciśnięte.

- Odkąd tu jestem, Fearon nie przestaje mi dokuczać, maltretować mnie i nalegać, żebym mu wyznał, gdzie jest skarb - rzekł sir Owen. - Tak mnie w końcu wyczerpał, że mu powiedziałem...

- Co? - krzyknął Antoni - więc on wie?

- Nastraszył mnie, że albo mu powiem, albo w moich oczach będzie torturował moją córkę i dał mi dwadzieścia cztery godziny do namysłu. Czas ten upłynął ze trzy godziny temu i żeby ratować Paulinę, powiedziałem mu wszystko co wiem.

- Więc on w tej chwili, może już wieje z zabranym złotem! - zawołał zboliałym głosem Vyne.

- Nie - odparł baronet - mogłem przecież dać mu tylko wskazówkę, jak szukać kryjówki skarbu.

Sam nie wiem, gdzie jest ukryty; nie sprawdziłem moich domysłów.

- Nie rozumiem - rzekł reporter.

- Przecież - odrzekł baronet - wiersz powiada tylko:

Strzały z łuku wypuszczone Polecą w jedyną stronę, W którąkolwiek ze stron świata, Byle nie gdzie wiatr przelata, A gdy padną na spoczynek, W piersi masz zawartość skrzynek.

Po bezskutecznym szukaniu jakiegokolwiek ukrytego znaczenia, wykreślaniu słów, próbach zestawienia akrostychu lub kryptogramu, przyszło mi nagle do głowy trzymać się literalnego znaczenia wyrazów. I patrząc z takiego punktu na ów wiersz, doszedłem do przekonania, że znaczenie to jest bardzo proste. Chodzi o wypuszczenie strzały z łuku w takim miejscu, skąd może ona polecieć w jednym jedynym kierunku. Następuje wiersz byle nie, gdzie wiatr przelata, co musi oznaczać miejsce zamknięte. A więc,

najprawdopodobniej gdzieś wewnątrz zamku Langley Towers.

Antoni mruknął coś, potakując. Rozumowanie sir Owena było najzupełniej jasne i przekonujące.

- Męczyłem się nad tym długi czas - ciągnął dalej baronet - skąd miała być puszczona ta strzała, która poleci w bezwzględnie prostej linii, żeby wskazać kryjówkę skarbu. Jeżeli w chwili strzału odchyli się ona choć parę cali od właściwego kierunku, to mogłaby upaść bardzo daleko, nawet w promieniu kilkuset jardów od miejsca przeznaczenia. Określenie wtedy byłoby zbyt dowolne. Domyśliłem się więc, że należy strzelać przez rodzaj ciasnej szpary, w której strzała mieściłaby się dokładnie, jak kula w lufie. Jeżeli ów otwór czy szpara zostaną odnalezione, każda wysłana tamtędy strzała musi z konieczności lecieć po jednej linii i za każdym razem paść w to samo miejsce. Rozumie pan?

- Doskonale - odrzekł Vyne. - Znakomicie pan to wykombinował. Ja też jestem pewien, że takie jest rozwiązanie zagadki.

- Rozpocząłem więc poszukiwanie w zamku, żeby znaleźć w murach jakiś odpowiedni otwór i po długich niepowodzeniach, znalazłem go wreszcie w niezamieszkałej komnacie, na szczycie północnej wieży.

Jest to otwór w murze, długi jak rura, mający około dwóch cali średnicy. Przebija całą grubość muru, która wynosi osiemnaście cali i pochyla się ku dołowi. Był on zatkany drewnianym kołkiem w kolorze muru i wskutek tego, zupełnie niewidoczny z zewnątrz. Jestem przekonany, panie Vyne, że strzała wypuszczona z tej strzelnicy wskaże nam kryjówkę ukrytego skarbu.

- I Fearon jest w posiadaniu tej wiadomości - rzekł Vyne. - Było to raczej stwierdzenie faktu, niż zapytanie.

- Ale tego co wie, nie może spożytkować przed wieczorem, póki się nie ściemni - odparł baronet. - Ryzyko byłoby zbyt wielkie. Musi on się zakraść do pałacu, żeby się dostać do tej komnaty na wieży.

- A my tymczasem jesteśmy we wstrętym położeniu - rzekł Antoni. - Czy pan także nie może rozluźnić tych sznurów?

- Ciągłe próbuję - odrzekł sir Owen - ale są niesłychanie mocno związane.

- Hm - mruknął reporter - może potrafiłbym rozgryźć je zębami. Myślę, że dam temu radę, niech się tylko Fearon nie zjawi zanim będziemy wolni, to uda nam się jeszcze popsuć mu szyki.

Nie tracąc czasu, zaczął szarpać zębami więzy krępujące ręce baroneta. Męczył się pięć minut i ani na jotę nie rozluźnił węzła. Użyty sznur był cienki ale mocny jak stal, a węzeł zdawał się pod zębami twardy jak kamień. Antoni spróbował przegryźć sam sznur, co wydało mu się nieco łatwiejsze i już oddzielił część włókien zębami, gdy od wejścia jaskini zabrzmiał okrzyk i w następnej chwili stanął przed nimi Geoffrey Fearon.

- W sam czas, zdaje się, przybyłem - zauważył ze złowieszczym śmiechem. - Jeszcze pół godziny, a byłbym zastał gniazdko próżne.

Pochylił się i krytycznym okiem sprawdził szkodę, wyrządzoną przez zęby Vyne'a, na sznurach wiążących sir Owena.

- Widzę, że będę musiał raz na zawsze uciąć wam skrzydełka - ciągnął dalej, prostując się. - Gdyby się ten piekielnik nie był wtrącał - rzucił złe spojrzenie na Antoniego - może byłbym cię nawet puścił na swobodę, naturalnie, po otrzymaniu skarbu. Ale ten wie za dużo i teraz ryzyko byłoby dla mnie za wielkie.

- A co masz zamiar z nami zrobić? - spokojnie zapytał Antoni.

Fearon zarechotał śmiechem.

- Umarli milczą - rzekł. - Bądźcie cierpliwi, to zobaczycie. Nie będę się już nawet męczył kneblowaniem wam buzi. Możecie się tu zakrzyczeć, a nikt was i tak nie usłyszy. To jedna z miłych zalet lego ustronia i dlatego obrałem je sobie na letnie mieszkanie.

Mówił spokojnym konwersacyjnym tonem, jakby rozmawiał o pogodzie lub ostatnich nowinach z gazet, tylko wyraz oczu zdradzał go. Były twarde, zimne i niewzruszone, a w ich bladoniebieskiej głębi czaiło się nieludzkie okrucieństwo, tak, że minio opanowania, zimny dreszcz przebiegł Antoniemu

przez plecy.

- Już raz miałem na ciebie chrapkę, Vyne - mówił dalej mężczyzna, rozwijając paczkę, którą przyniósł ze sobą. - Wtedy mi się nie udało; chybiłem.

Ale teraz w żywe nieba się klnę, że nie skompromituję się po raz drugi.

Wyłożył na pokrywę drewnianej skrzyni zawartość pakietu. Było tam coś, co wyglądało jak wielkie cygaro i zwój cienkiego, białego sznura, którego przeznaczenia Antoni nie umiał sobie wytłumaczyć.

- Ta rozkoszna rezydencja, zaopatrzona we współczesny komfort - ciągnął dalej drwiąco Fearon - wkrótce będzie na sprzedaż z całym urządzeniem (prawda, że tak się redaguje ogłoszenia?). - Urządzenie, to właśnie wy dwaj.

Zapalił papierosa i przez chwilę zaciągał się w milczeniu. Antoni domyślił się już, do czego mają służyć przedmioty na wieku skrzyni i skóra ścierpła na nim, gdy przejrzał diabelski zamysł zbrodniarza. Na pozór reporter wydawał się wciąż zimny i niewzruszony.

Fearon dokończył wreszcie papierosa i wyciągnął z kąta małą brązową skórzaną torebkę. Otworzył ją i szybko przejrzał jej zawartość, jakby chciał się przekonać, że o niczym nie zapomniał. Potem zatrzasnął zamek i przeszedł na stronę, gdzie leżeli Antoni i sir Owen.

- Niedługo się stąd wynoszę - oznajmił - i to już na dobre. Rad z tego jestem. Jeżeli który z was chce mi jeszcze coś powiedzieć, gadajcie prędko!

- Słuchaj, Fearon - spokojnie spytał Antoni - dlaczego zabiłeś tego włóczęgę?

- Czy chodzi ci o Soapy Davisa? - spytał Geoffrey Fearon.

- A więc znałeś go, czy tak?

- Tak, znałem go - odrzekł Fearon - i gdyby nie to, że i on mnie znał, żyłby jeszcze. Siedział w sąsiedniej celi, obok mnie, w więzieniu Moor, ten lizus, donosiciel!

- Ach, więc o to chodziło - cicho rzekł Antoni.

- Pewno cię szantażował?

- Właśnie - powiedział morderca. - Chyba nie powiesz, że ci się nie przyznałem? Davis poznał mnie, spotkawszy nocą na jednej z wycieczek, kiedy nie przebrałem się za Czarnego Garbusa i straszył, że mnie wyda. Za to umarł wśród róż! - dodał dowcipnie. - Może jeszcze co chcesz się dowiedzieć?

- Niejedno - odrzekł Antoni - ale rezerwuję sobie to, do następnego spotkania z tobą - w Old Bailey!

- Dla mnie nie będzie już żadnego Old Bailey - rzekł Fearon - ani dla ciebie też, bo gdy stąd wylecisz, co się wkrótce stanie - to wyfruniesz na zawsze, przez dach!

Znów zarechotał cichym śmiechem.

- Tracę tylko czas na całą tę gadaninę - ciągnął dalej - a sporo jeszcze mam roboty.

Podszedł do połamanej skrzynki, wziął leżący na niej cylinder w kształcie cygara i zwój białego sznura.

Nie śpiesząc się, z całym spokojem odmierzył długość tej linki, wyjął scyzoryk z kieszeni i przeciął sznur w miejscu, które naznaczył. Antoni przyglądał mu się z nieopisaną grozą w sercu. Wiedział aż za dobrze, do czego zmierzają te przygotowania i że o ile on i sir Owen nie zdołają wyswobodzić się z więzów, to za krótką chwilę staną obaj w obliczu najstraszniejszej śmierci.

- Zawsze interesowało mnie rozsadzanie skał - mówił Fearon, przymocowując biały sznurek do cylindra. - Ciągłe nas do tego używano w kamieniołomach Princetown; dla mnie miało to ogromny urok. Ale nigdy nie mogłem się z bliska przyjrzeć wybuchowi, a tę przyjemność wy obaj wkrótce będziecie mieli i sądzę, że powinniście mi podziękować za sposobność przyjrzenia się takiemu interesującemu widowisku.

Vyne milczał. Nie było celu rozmawiać z tym zatwardziałym łotrem, który żartował, przygotowując nową zbrodnię. Bo wszak miało się tu spełnić podwójne morderstwo!

Geoffrey Fearon znikł w ciemnym kącie jaskini, zabrawszy ze sobą

narzędzia śmierci i zniszczenia.

Usłyszeli skrobanie i odgłos spadających kamieni. Po krótkiej chwili ukazał się znowu, ciągnąc za sobą biały sznur. Dosięgnął on środka jaskini i koniec upadł prawie na wprost reportera i sir Owena.

- Gotowe - odezwał się swym uprzejmym, konwersacyjnym tonem - teraz muszę tylko zapalić lont, a za jakieś trzy kwadransy - fiut!!! Obaj znikniecie i zamienicie się w pyłki kurzu zawieszony w przestrzeni!

- Ty łajdaku! - wybuchnął baronet, który teraz dopiero zrozumiał diabelską machinację szwagra. - Chcesz nas wysadzić w powietrze!

Fearon popatrzył na niego z uśmiechem.

- Nareszcie udało ci się zgadnąć! Doprawdy, inteligencja twoja jest niezwykła - powiedział.

- Jestem pewien, że Vyne od razu się zorientował, o co chodzi, gdy tylko rozwiązałem paczkę - prawda?

Nie czekając na odpowiedź, której widać się nie spodziewał, odwrócił się i zaczął badać mechanizm automatycznego pistoletu, który wydobył z kieszeni.

Widocznie zadowolony z oględzin, zabezpieczył go i schował z powrotem. Potem spojrzał na zegarek.

- Siódma - rzekł - muszę wiać. Jednak, o ile pozwolicie, wolę założyć wam znów te kneble. Nikt by was wprawdzie nie usłyszał, choćbyście się zakrzyczeli, chyba że zbliży się do samego wejścia tego eleganckiego letniska - ale nie stać mnie na to, żeby ryzykować!

Pochylił się nad reporterem i zręcznie wcisnął mu w usta gałgan leżący obok na ziemi. Antoniego swędziły palce, żeby chwycić dręczyciela, ale był bezbronny.

Fearon musiał przeniknąć jego myśli, bo sardonicznie roześmiał mu się w twarz.

- Dałbyś wszystko za to, żeby mieć wolne ręce - prawda? - spytał, chichocząc cicho. - Doprawdy, bardzo mi przykro, że nie mogę cię zadowolić.

Odwrócił się i tę samą czynność powtórzył na sir Owenie.

- Gotowe! - rzekł, prostując się - zdaje się, że teraz wszystko już w porządku.

Podniósł brązową, skórzaną torebkę i rozejrzał się po jaskini. Potem raz jeszcze położył torebkę.

- O mało nie zapomniałem najważniejszej rzeczy - rzekł ze złowrogim rechotem.

Wyjął z kieszeni zapalki, potarł jedną i przybliżył do końca knota, który zatrzeszczał i prysnął iskrami.

Antoni poczuł ostrą woń prochu. Fearon schował zapalki, wziął znów torbę w rękę i szedł ku wąskiemu otworowi, ale zatrzymał się na progu.

- Do widzenia panom! - zawołał, machając ręką. - Życzę wam szczęśliwej podróży!

XIV. Darrel się niepokoi.

Rozstawszy się z Antonim na trawniku, Darrel z Hume'em powrócili do domu. Starzec był blady i wyglądał choro, najwidoczniej cierpiał strasznie po tragicznej śmierci syna. Weszli do pałacu tylnymi drzwiami i kamerdyner, puszczając naprzód gościa, udał się wprost do swojego pokoju.

Jack rozumiał starego i współczuł mu szczerze.

Ostatecznie - kimkolwiek stał się w życiu Soapy Davis (a okazało się, że było z niego skończone nic dobrego) Hume widział w nim zawsze małego synka, którego kiedyś niańczył i pieścił. Serce Darrela pełne było litości dla starego.

Skierował się teraz do salonu w poszukiwaniu Pauliny Langley. Dziewczyna niecierpliwie czekała na wiadomości. Posłuszna nakazowi Antoniego pozostała w pokoju, choć ją paliła ciekawość, co ten strzał mógł znaczyć.

Ujrzawszy Jacka, zarzuciła go pytaniami, na które odpowiedział jej krótkim sprawozdaniem z tego, co zaszło, nie wspominając o tym jedynie, że

włóczęga został poznany i miał jakąkolwiek łączność z kamerdynerem.

- Wydaje się, jakby na to miejsce padło jakieś straszne przekleństwo - rzekła Paulina, gdy skończył.

- Najpierw zniknięcie biednego tatusia, potem śmierć Travisa, a teraz nowa tragedia. Co to wszystko może znaczyć?

Darrel nie przyznawał się, że jest równie zaskoczony, jak ona sama.

- Przypuszczam, że rozwiązanie okaże się bardzo proste, gdy je znajdziemy - odrzekł.

- A gdzie jest pan Vyne? - spytała.

- Robi jeszcze poszukiwania w rosarium - odrzekł Jack - ale przypuszczam, że lada chwila wróci.

Nie przeczuł, że wiele godzin minie, zanim ujrzy przyjaciela!

Siedzieli jeszcze czas jakiś, rozmawiając o wypadkach ostatnich paru dni i dopiero zegar bijący na kominku jedenastą przypomniał im, że jest tak późno.

Na dźwięk zegara dziewczyna zerwała się.

- Nie może być! ani mi się śniło, że już tak późno - zawołała. - Co mogło się stać z panem Vyne'em?

Darrela zaczął też ogarniać pewien niepokój o niego, ale starał się nic nie dać poznać po sobie.

- Jestem pewien, że nic się nie stało - rzekł uspokajająco. - Ma taki zwyczaj, że ginie na długie godziny, gdy rozwiązuje jakiś trudny problem. Zejdę do rosarium i zobaczę, czy go tam nie ma.

Wstał.

- Myślę, że już się położę - rzekła Paulina - Frank powiedział wprawdzie, że zajrzy tu jeszcze wieczorem, ale go nie widać. Dzwoniłam do niego przed chwilą i nie było go w domu. Nie mam pojęcia, gdzie się podziewa.

- Może poszedł po coś na wieś, zatrzymali go tam i zrobiło się za późno, żeby przyjść do Langley Towers - poddał Jack.

- W każdym razie, mógł przecież zatelefonować - rzekła dziewczyna, a

tłściocha zabawił oburzony ton jej głosu. Znać było, że to zapomnienie młodego człowieka dotknęło ją głęboko.

Darrel powiedział Paulinie dobranoc i skierował się do różanego ogrodu. Nie było tam śladu Antoniego.

- Gdzie on mógł iść? - myślał Darrel. - Czyżby mu wpadło na myśl jakieś rozwiązanie zagadki i poszedł za świeżą przewodnią nicią? - Jack czuł się nieco dotknięty. Nie cierpiał, gdy przyjaciel odsuwał go od siebie, a bezcelowy spacer, po którym trzeba będzie iść do łóżka, nie zaspokajał wcale jego awanturniczych pragnień. Miał żal do Antoniego, że poszedł sam szukać przygód, a jego zostawił tu w niepewności. Jedno sobie przyrzekł: nie położy się, póki Vyne nie wróci i póki się nie dowie, co przez ten czas robił.

Darrel zastrzegał sobie w myśli, jeżeli mi się to uda - bo Antoni miał nieznośny zwyczaj, że stawał się czasem niemy jak ostryga co do swych poczynań.

Noc była spokojna i cicha, a światło księżyca, wielkiego artysty, malowało świat przyćmionym srebrem na tle niezgłębionego błękitu niebios. Ale Darrel nie odczuwał dobrodziejstwa tej ciszy. Nudził go ten monotony spokój i pożył jakiejś podniety.

Zanadto był rozbudzony, by się położyć, spacerował więc dokoła pałacu, może w nadziei, że ujrzy gdzie przyczajoną postać Czarnego Garbusa, która by pobudziła jego fantazję. Nic jednak nie dostrzegł.

Świeciło się jeszcze w oknach sypialni Pauliny, ale wkrótce zagasło to ostatnie światło i pałac stał jak czarny blok na trawniku.

Jack Darrel starał się skoncentrować myśli na sprawie i z faktów, które posiadał, zaczął układać sobie prawdopodobną hipotezę; obracał zdobyte wiadomości w tę i ową stronę, ale zmęczył sobie tylko umysł i nie doszedł do żadnej zadowalającej konkluzji.

Był pewny, że Antoni dotarł już do jądra zagadki i zaczęła go irytować wspaniała izolacja przyjaciela.

Wprawdzie mógł się już do niej przyzwyczaić w długim współżyciu z reporterem, jednakże ten rys charakteru Vyne'a wzbudzał zawsze złość w tłustym Darrelu.

Zegar kościelny we wsi bił dwunastą, gdy znalazł się znów przed bocznym wejściem pałacu. Wciąż uczuwał niepokój - ten sam, który dręczył go już poprzednio. Czy stało się co Antoniemu? Mało było prawdopodobne, żeby do tej pory poszukiwał jakichś śladów. Więcej jak trzy godziny minęło, odkąd rozstał się z Vyne'em na trawniku i ten powiedział mu, że wraca do rosarium, dodając, że długo tam nie zabawi.

Darrel pchnął drzwi, sądząc, że się otworzą, ale ani drgnęły; były zamknięte na noc. Domyślił się, co się stało. Domownicy, pewni, że położył się jednocześnie z Pauliną, zaryglowali wejścia. Przypomniał sobie drzwi werandowe, wiodące z salonu na taras i poszedł ku nim, okrążając frontowe schody. Przekonał się, że były też zamknięte na zasuwkę, ale otworzył ją łatwo, wsuwając ostrze scyzoryka przez szparę. Wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi, i przeszedł do przeciwległych, żeby zapalić światło. Coraz głębszy niepokój przejmował go z powodu długiej nieobecności Antoniego i w proporcji do wzrostu tego niepokoju, zmniejszał się jego żal do przyjaciela. Nie mógł zgadnąć powodu, dla którego reporter tak długo zostawałby na dworze - chyba, że trafił na świeży ślad Garbusa, albo też spotkał go jakiś przypadek. Nic by jednak teraz nie pomogło szukać przyjaciela na dworze. Mógłby wrócić w czasie nieobecności Darrela, który chodziłby całą noc, gdy Vyne byłby już bezpieczny pod dachem.

Podniósł z kanapy jakąś ilustrację i próbował czytać, ale nie mógł zatrzymać myśli na drukowanej stronicy, aż rzucił pismo w kąt z grymasem obrzydzenia i niespokojnie zaczął wielkimi krokami przemierzać wzdłuż i wszerz pokój.

Przed oczami jego uzmysławiały się różne chaotyczne wizje, pokazywały mu przyjaciela w najniebezpieczniejszych sytuacjach, ale ciekawe, że w niczym

nie zbliżały się one do rzeczywistości.

Mijała godzina za godziną, a tłuścioch przebiegał salon drobnym kroczkiem. Na wschodzie niebo zaczęło się rozjaśniać nieznacznie i powoli, a błękitnawe światło wpływające przez okno oświecało ściągniętą i zmienioną twarz Jacka, z oczami napuchniętymi z braku snu.

Zegarek na kominku wydzwonił szóstą i gdy przebrzmiało ostatnie uderzenie, Darrel postanowił raz jeszcze wyjść na zwiady i przekonać się, czy teraz, za dnia, nie odkryje jakiegoś śladu Antoniego. Wszystko będzie lepsze od tej denerwującej bezczynności, od tego jałowego, bezradnego czekania. Zbliżył się już do drzwi ogrodowych, gdy nagle w ciszy uspiętego pałacu, odezwał się ostry dzwonek telefonu. Jack w paru susach przebiegł szerokość salonu, otworzył drzwi do halu i skoczył do aparatu.

Nikt inny tylko Antoni - Któżby dzwonił o tej porze jak nie on? Okazuje się, że wszystkie obawy były płonne!

Zdjął słuchawkę z widełek, spodziewając się usłyszeć dobrze znany głos przyjaciela; ale spotkało go rozczarowanie, bo z oddali mówił Frank Cunningham.

- Halo! - wołał. - Kto przy telefonie?

- Tu Darrel - odpowiedział tłuścioch - o co chodzi?

- Ach, to pan, panie Darrel, ranny z pana ptaszek! A czy pan Vyne już wstał?

- Nie było go w domu całą noc - rzekł Jack. - Zaczynam się o niego bać. Wcale się dziś nie kładłem.

- Ja też boję się o niego - rzekł Cunningham. - Dlatego dzwonię tak rano, choć pewno cały dom pobudziłem. Mało co spałem tej nocy - niepokoję się o pana Vyne'a.

- Dlaczego? - spytał Darrel. - Czy pan wie gdzie on poszedł?

- Tak - odpowiedział Cunningham. - To znaczy, wiem gdzie się udał, gdy mnie pożegnał.

Opowiedział Jackowi, co zaszło poprzedniego wieczoru, gdy Antoni gonił go przez las.

- Uparł się, żebym poszedł się położyć - zakończył - choć bardzo chciałem iść tam z nim razem, nie chciał o tym słyszeć. Mam jednak jeszcze nadzieję, że mu się nic nie stało.

- A ja przeciwnie - rzekł Darrel poważnie - boję się. Gdzie jest ta kopalnia żwiru?

- Jeżeli chce pan tam iść, to pozwól pan, że pójdziemy razem - rzekł Cunningham. - Z moją nogą jest już znacznie lepiej.

- Doskonale - rzekł Jack. - Gdzie się spotkamy?

- Żeby tam trafić, musi pan przejść koło mojego domu, chyba, że pójdzie pan krótszą drogą lasem; ale tam mógłby pan zbłądzić.

Krótko wytłumaczył mu, którądy ma iść do jego dworu.

- Zaraz idę - rzekł Darrel.

- Będę gotów - odrzekł Cunningham. - Czekam na pana przy bramie.

- Czy ma pan rewolwer? - spytał Jack.

Cunningham odpowiedział, że nie ma.

- W takim razie - rzekł Darrel - przyniosę dwa: dla pana i dla siebie.

Położył słuchawkę na widełki i pędem wbiegł na górę do swojego pokoju. Otworzywszy neseser, wy dobył parę automatycznych pistoletów i w oka mgnieniu przekonał się, że działają poprawnie.

Zbiegł z powrotem ze schodów i salonowymi drzwiami wydostał się do ogrodu. Był teraz niemal pewien, że Antoni wpadł w zasadzkę i drżał, czy aby przybędzie na czas, żeby go z niej wybawić.

Mimo swej tuszy i wagi Darrel przebył dwie mile dzielące Langley Towers od rezydencji Cunninghama w tempie wyścigu piechurów.

Frank Cunningham okazał się słowny i czekał przy bramie, gdy nadbiegł zadyszany i spocony Darrel.

Tłuścioch nie zatrzymał się ani chwili, podał tylko jeden z pistoletów

Cunninghamowi i obaj pobiegli kłusem ku dawnej kopalni żwiru. Na twarzy Cunninghama, gdy utykając podążał za Darrelem, malował się wyraz niepokoju. Noga w kostce, choć przez noc skłęśła, bolała go jeszcze bardzo, ale zaciął zęby i dotrzymywał wyścigowemu tempu towarzysza.

Nie tracili czasu na rozmowę, bo nie mieli sobie nic do powiedzenia, a myśl mieli zajęta tym, co ich czeka u celu wędrówki. Darrelowi robiło się niedobrze na samą myśl, ile godzin Antoni był tam bez pomocy. Przez tak długi czas wszystko mogło się zdarzyć!

Mimo znacznej odległości, w krótkim czasie dotarli do jamy po żwirze. Słońce stało już wysoko na niebie i miejsce to pod jasnymi promieniami, wydawało się milczące i opuszczone.

Darrel zwolnił kroku.

- Teraz musimy posuwać się ostrożnie - szepnął cicho - bo może z tego wyniknąć więcej szkody niż pożytku. Gdzie to są owe krzaki, za którymi zniknął panu nieznajomy?

Cunningham pokazał je palcem.

Jack zaczął ostrożnie schodzić w głąb jamy, a za nim, kulejąc, szedł Cunningham. Ktokolwiek byłby im się przyglądał, zdumiałby się, jak dokładnie naśladowali wczorajsze ruchy Vyne'a.

Posuwając się z trudnością naprzód i nasłuchując co chwila, doszli pod kupę zwalonych kamieni, po której należało się wspinać do otworu jaskini.

Tu Darrel zatrzymał się.

- Idę na górę - szepnął do ucha Cunninghama.

- Pan lepiej tutaj czekaj na mnie.

Wyjawszy pistolet i trzymając go w pogotowiu, wolno i pracowicie zaczął wspinać się po osypisku.

Przyszło mu to trudniej niż Antoniemu, bo nie miał tak długich nóg, ale dało się dokonać bez szelestu i znalazł się wreszcie przed samym wejściem do jaskini.

Z bijącym sercem zajrzał do czarnej czeluści i poczuł wydobywający się z niej ostry dym. Pociągnął nosem - woń była jakby po świeżym wystrzale i ogarnęło go nieopisane uczucie trwogi. Co mogło na niego czekać w tej grocie, czarnej jak grób?

Minął próg i nasłuchiwał. Cisza. Dla wchodzącego wprost ze słońca panowała tu nieprzebita ciemność; nic nie widział przed sobą. Nagle w czarnej czeluści błysła mu płonąca, czerwona iskra. Z prawą ręką na cynglu pistoletu, lewą wyjął z kieszeni zapalniczki. Umieściwszy pudełko w prawej dłoni razem z pistoletem, lewą wydobyl zapalniczkę i potarł ją. Gdy błysnął mały żółtawy płomyk - szybko spojrzął dokoła i prawie natychmiast spostrzegł leżące koło siebie pod ścianą w głębi dwie związane postacie z zakneblowanymi ustami.

Wsuwając broń do kieszeni skoczył ku nim i przy gasnącej zapalniczce poznał w leżącym bliżej Antoniego Vyne'a. Szybko wydobyl scyzoryk i rozciął knebel, wyciągając go z ust reportera.

- Boże, dzięki Ci! - wykrztusił Antoni. - Prędko stary, rozcinaj te sznury, moje i sir Owena. Nie ma chwili do stracenia, wybuch może lada minuta nastąpić.

W mgnieniu oka pojął Darrel znaczenie ostrego zapachu prochu i palącej się na ziemi czerwonej iskry i w gorączkowym pośpiechu, z wzrokiem, który już przywykł do ciemności, rozciął więzy Antoniego i sir Owena. Musieli wołać na Cunninghama, żeby pomógł wyprowadzić baroneta, bo członki jego unieruchomione od tak dawna zeszywniały zupełnie i nie mógł się utrzymać na nogach. Przez ten czas Antoni podszedł do syczącego knota. Pozostało go zaledwie cztery cale!

- Prędezej! spiesz się, Jack! - krzyczał. - Ujdziemy jeszcze z życiem! Ze zrozumiałych przyczyn chodzi mi o to, żeby ta eksplozja miała miejsce, tak jak ją obmyślono.

Najtrudniej przyszło sprowadzić baroneta ze zwaliska głazów, na dno jamy; ale udało im się to, gdy Antoni i Frank wzięli go między siebie pod ręce, a

gdy wszyscy znaleźli się na pewnym gruncie, zaczęli biec pędem, uciekając przed straszną śmiercią. Zaledwie dobiegli brzegu jamy, gdy nagle ozwał się huk i ziemia zatrzęsa się pod nimi. Zbocze wzgórza zakołysało się, rozbujało i nagle zapadło się w kupę gruzów i kamieni, nad którą uniosła się chmura białego kurzu!

XV. Oczekiwanie.

Nie odczuwając żadnych złych skutków po strasznych chwilach, które przeżył, Antoni w dwie godziny potem siedział w bibliotece Langley Towers, czytając długi telegram otrzymany przed chwilą.

Pochodził on od agenta, którego miał w Londynie i był odpowiedzią, na wysłaną poprzednio depeszę. Gdy przeglądał parę nadesłanych kartek, twarz jego rozjaśniła się zadowoleniem. Podniósł oczy na Darrela, który właśnie wchodził do pokoju.

- A teraz gdzie znów ruszymy? - spytał ten, zacierając tłuste rączki.

- Ty ruszysz na wieś - rzekł Antoni - jeżeli zechcesz odnieść mi depeszę do Halama.

Z kieszonki w kamizelce wyjął ołówek i bazgrał nim szybko przez chwilę, po czym podał przyjacielowi kartkę. Jack przeczytał ją. W paru słowach wyrażała co trzeba:

Zaraz jedź Langley Towers stop wysiądź na poprzedniej stacji stamtąd pieszo stop ważne odkrycie Vyne.

Darrel roześmiał się, czytając te słowa.

- Będzie cię błogosławił stary Halam za ten czteromilowy spacer w kurzu i słońcu. Pewno tyle będzie z Little Camberley - rzekł.

- Myślę, że nawet nieco więcej - odparł Antoni, mrugając okiem - ale Halamowi w ogóle brak ruchu, to mu dobrze robi.

- Napewno tego nie uzna! - odparł Jack.

Antoni uśmiechnął się.

- Nikt sam nie wie, co mu służy - zauważył sentencjonalnie. - Uważaj

tylko, żeby nikt obcy cię nie widział, jak będziesz wchodził na pocztę.

Jack kiwnął głową.

- Ufaj mi - powiedział i wyszedł.

Po jego odejściu Antoni czas jakiś siedział nieruchomo, pogrążony w myślach. Układał sobie plan działania na ostatni akt przedstawienia i w myśli segregował wszystkie fakty. Radosny uśmiech czaił mu się w kącikach ust, na myśl jaką niespodziankę szykuje Halamowi. Fearon, naturalnie (o co Antoniemu bardzo chodziło) - wyobraża sobie teraz, że baronet i Vyne zginęli obaj w wybuchu i dziś w nocy wybierze się na pewno na poszukiwanie skarbu. Antoni przygotowuje mu zasłużone przyjęcie!

Sir Owen wróciwszy do domu udał się prosto do swego pokoju i do łóżka. Wyczerpany długim skrępowaniem i głodem (bo Fearon skąpił pożywienia i tylko raz na dzień dawał mu po kawałku suchego chleba z mięsem z puszki) - osłabł zupełnie.

Paulina uradowana powrotem ojca, dziękując Antoniemu, spojrzała nań tak wymownie, że krew w nim zagrała i zapragnął przez chwilę, żeby żaden Frank Cunningham nie istniał na tym świecie. Siedziała ona teraz wciąż przy ojcu, z czego reporter był rad, bo nie przeszkadzała jego przygotowaniom na zbliżającą się noc.

Nikom z domowników nie pozwolono opuszczać pałacu. Antoni bał się, żeby morderca mu nie umknął, a niebacznie wyrzeczone słówko mogło go łatwo ostrzec.

Gdyby tylko przeczuł, że Antoni zdołał się wydostać żywy z jaskini, miałby się teraz na baczności i zginęłaby nadzieja pochwycenia go, gdy przyjdzie szukać skarbu.

Tak rozmyślając o szczęśliwym końcu całej sprawy, siedział sobie reporter zagłębiony w jednym z wygodnych foteli biblioteki. Otwierała się teraz wspaniała kampania - cały szereg ciekawych sensacyjnych artykułów dla Messengera. Nic już teraz nie mógł zrobić do przybycia Halama o zmroku, a

Fearon na pewno nie ukaże się przed północą - o tym był przekonany. Złoczyńca nie śmiałyby się tu zjawić, póki istnieje obawa, że ktokolwiek z domowników jeszcze czuwa.

Do nocy więc nie miał Antoni nic do roboty.

Cunningham poszedł do domu, otrzymawszy przyrzeczenie Antoniego, że pozwoli mu być obecnym przy finale sprawy. Miał wrócić na obiad do Langley Towers.

Zadowolony z siebie i ze świata, Antoni wydobył z kieszeni papierosa i zapaliwszy, puszczał wielkie kłęby dymu, zaciągając się głęboko. Tak przeszło pół dnia w zupełnym spokoju.

Inspektor-detektyw Halam, przybył nieco wcześniej, niż się go spodziewali, zgrzany, zakurzony i spocony, sapiąc i chrząkając jak delfin.

- Miły spacer? - spytał go Darrel, gdy wyszli z Antonim na jego powitanie.

- Jestem półżywy! - wybuchnął inspektor, wycierając mokrą czuprynę jedwabną chustką. - O cóż właściwie chodzi, panie Vyne? Chyba jakaś niesłychana zdobycz może mi wynagrodzić tę pięciomilową przechadzkę.

- Tak - rzekł Antoni - jak się pan dowie, to sam przyzna, że rzecz jest niesłychanie ważna.

Odprowadzili go do pokoju, żeby się umył i powrócili na taras, gdzie czekał ich podwieczorek.

Tutaj przedstawiono Halama Paulinie, która krótko z nimi zabawiła i przeprosiwszy gości, wróciła do ojca.

Gdy zostali sami, Antoni opowiedział Halamowi historię o Czarnym Garbusie, a gdy skończył, Halam spojrzał nań pytająco.

- Cóż za ciekawa historia, Vyne - rzekł - ale niech mnie kaci biorą, jeśli wiem po co mnie pan tu sprowadził. Przecież miejscowa policja mogła wam pomóc złapać tego Fearona.

- Naturalnie, że mogła - odpowiedział Antoni z uśmiechem. - Pana

potrzebowałem do czegoś zupełnie innego.

- Do czego? - spytał Halam, popijając trzecią filiżankę herbaty.

- Sam pan zobaczy, jak przyjdzie pora - powiedział reporter.

- Hm - chrząknął inspektor, który po umyciu się i herbacie przyszedł już nieco do siebie po przymusowym spacerze i był w dobrym humorze. - Znaczy to, że się nic więcej od pana nie dowiem.

Wiem, że nie ściągałbyś mnie tu na próżno - więc będę czekać - to zobaczę...

- Zobaczysz, panie Halam, że było na co zaczekać - odparł Antoni.

- Przypuszczam, że dochodzenie morderstwa Harpera zupełnie już pan porzucił - zapytał nieco później detektyw.

- Owszem, zrobiłem nawet parę odkryć w tej sprawie - rzekł Antoni wzruszając ramionami.

- To był grandziarz - określił go Halam. - Posądzaliśmy go od dawna, choć nie było żadnego przekonywającego dowodu. Potem znaleźliśmy ich dosyć, gdy się przejrzało jego rzeczy. Nie dziwiłbym się, żeby North okazał się jednym z jego bandy.

- Być może - przerwał Antoni. - Jak długo North mieszkał u Harpera?

- Około trzech tygodni - odrzekł Halam.

- A skąd tam przybył, gdzie mieszkał przedtem?

- dopytywał się reporter.

- Nikt tego nie wie - rzekł Halam, chrząkając, i rozgarnął włosy palcami, co było jego zwyczajem. - Namordowaliśmy się dosyć szukając jakichś śladów - nie ma żadnych. Zjawił się nie wiadomo skąd - z powietrza!

Antoni umilkł, wpatrzony w wierzchołki sosen, lekko poruszane wiatrem. Po chwili wstał i zaproponował partię bilardu.

Halam przystał chętnie i przeszli do bilardowego pokoju, gdzie pozostali, póki nie podano obiadu, walcząc kulami, podczas gdy Darrel pełnił służbę markiera.

Jack niezmiernie był ciekaw celu sprowadzenia Halama. Antoni opowiedział mu w prawdzie historię Geoffreya Fearona, ale mimo wysiłku tłuścioch nie rozumiał, dlaczego przyjaciel w całą tę sprawę wciąga zacnego inspektora.

- Co u diabła Antoni ma za zamiary - mruzczał sam do siebie podczas gry.
- Nie pamiętam, żeby kiedy robił cośkolwiek bez słusznego powodu - więc i w tym musi coś być.

Obiad przeszedł milcząco. Paulina na prośbę ojca jadła z nim na górze. Frank Cunningham przybył w chwili, kiedy siadali do stołu i wraz z Halamem parę razy bezskutecznie próbował zagaić rozmowę, ale Antoni był roztargniony i zdawał się odgraniczać w świecie własnych myśli.

Z nastaniem ciemności Darrel poczuł, jak zaczyna go ogarniać podniecenie i napotkawszy wzrok Cunninghama zdał sobie sprawę, że ten jest w takim samym usposobieniu. Godziny miały wolno, jakby czas obciążył ołowiem swe skrzydła. Nie mieli już nic do roboty, a każdy z nich zanadto pogrążony był w myślach o tym, co się stanie, żeby móc się interesować obecną chwilą.

O jedenastej Antoni zgromadził ich koło siebie.

- Czas już zająć pozycję w górnej komnacie północnej wieży blisko miejsca, skąd ma być puszczonego strzała, która osiągnie kryjówki skarbu - rzekł spokojnie.

- Ciekaw jestem, gdzie się właściwie to miejsce znajduje? - wtrącił Darrel.

- Ja już wiem gdzie - niespodziewanie odezwał się Antoni. - Dziś rano sprawdziłem teorię sir Owena.

- Co - krzyknął Jack oburzony - i nic mi nie powiedziałaś? to ma być przyjaciel? Skądże u diabła wzięłaś łuk?

- Nie użyłem do tego łuku - odpowiedział reporter - użyłem gwintówki, którą wzięłem ze zbrojowni. Przecież każdy prosto niosący strzał może tu

zastąpić luk.

- I gdzież jest ta kryjówka? - pytał Jack.

- Wkrótce się dowiesz - odrzekł Antoni.

Halam odchrząknął.

- Podobno nie to jedno okaże się wkrótce - rzekł z ironią.

- Tak jest, ma pan zupełną rację, Halam - rzekł Antoni, uśmiechając się nieznacznie. - Chodźcie! Czas nam już zająć pozycję. Wybrałem ten pokój na wieży, bo nasz przyjaciel Fearon na pewno tam się wprost uda - a trudno zgadnąć, od której strony pałacu się włamie.

Komnata ta używana jest jako skład różnych gratów, więc łatwo się nam będzie między nimi ukryć.

Mówiąc to prowadził ich korytarzem, który biegł wzdłuż całego domu i łączył obie wieże, a w środku rozszerzał się i tworzył hal. W końcu korytarza były schody, a na wąskich podestach po cztery mocne dębowe drzwi, jedno nad drugim.

Antoni zapalił elektryczną latarkę. Niżej położone drzwi zamknięte były sztabami, ale ostatnie, najwyższe, stały szeroko otwarte.

- Nie mamy potrzeby zamykać tych drzwi - mówił Antoni, zatrzymując się na progu. - Nie przestraszy to Fearona, że je zastanie otwarte. Pomyśli, że po prostu zostawił je tak sir Owen, gdy tu był po raz ostatni.

Weszli do obszernej sklepionej komnaty, która zajmowała całe wnętrze wieży, prócz przestrzeni odciętej na schody. Była ciemna i mroczna, bo zamiast okna, miała tylko rodzaj wąskiej strzelnicy.

Antoni oświetlił wszystkie kąty swą latarką, uważając, by światło nie stało się widoczne z zewnątrz, w razie gdyby ich stamtąd ktoś śledził. Pełno tu było starych skrzyń i wszelkiego rodzaju rupieci, grubo okrytych kurzem i pajęczyną.

- Obawiam się, że trzeba się nam będzie wstrzymać od palenia - rzekł reporter. - Zapach dymu zwróciłby jego uwagę.

Wybrali sobie jak najwygodniejsze stanowiska za pakami i różnymi

gratami i gdy się już ulokowali, Antoni zagasił latarkę. Przez otwarte drzwi doszło ich uderzenie zegara w halu, ściszone oddaleniem. Było w pół do dwunastej. W zamarłym milczeniu i głębokiej ciemności czekali teraz na przyjscie Czarnego Garbusa.

XVI. W północnej wieży.

Powoli minęła godzina. Darrelowi wydała się ona najdłuższą, jaką kiedykolwiek przeżył, tak miał nerwy niesłychanie napięte oczekiwaniem. Ciężkie sapanie inspektora Halama było jedynym szmerem, który przerywał głęboką ciszę. Ciemność zdawała się rozpostartą czarną aksamitną zasłoną - na jej tle szarzał tylko wąski pasek długiego okienka.

Uszu Antoniego doszło pytanie wymówione szeptem.

- Jak wam się zdaje, ile tu czasu będziemy wyczekiwać? - mruknął głosem brzuchomówcy Halam.

- Nie mam zielonego pojęcia - odrzekł reporter ledwo dosłyszalnym szeptem.

- Bo ja już całkiem zdrętwiałem - jęczał boleśnie inspektor.

Darrel stłumił śmiech, ale nie dość szybko, bo dosłyszał go Halam i zakipiał złością.

Dla pana to może zabawne, ale jesteś trochę młodszy ode mnie. Dla człowieka w moim wieku to bardzo męczące...

- Cyt - ostrzegł Antoni - pański szept rozlega się na parę mil dokoła, Halam!

Detektyw odchrząknął i zamilkł.

Zaraz po zachodzie ruszył się wiatr i słyszeli teraz jego westchnienia wśród drzew dolatujące zza węgła wieży, a co parę chwil chłodny powiew dosięgał ich przez wąskie okienko, które nie było oszklone. Wiatr poruszał śmiecie rozsypane na podłodze i przyprawiał czekających o lekkie dreszcze. Pogoda się zmieniała i wiatr ten był zapowiedzią deszczu - widocznie po tropikalnych upałach ostatnich dni miała nastąpić seria opadów.

Znów minęła godzina i usłyszeli, jak w oddali zegar bił pierwszą; w domu jednak wszystko pogrążone było w ciszy. Trudno było zgadnąć, o której ukaże się Fearon, ale Antoni wyobrażał sobie, że stanie się to między dwunastą a drugą. Przed trzecią już się rozwidniało, więc nie ryzykowałby pokazać się przy dziennym świetle. Szpara okienna stawała się coraz widoczniejsza, bo księżyc wychylił się spoza wieży i jasny jego promień przecinał teraz ciemności komnaty.

Wybiło wpół do drugiej. Antoni posiadał nieprzebrany zapas cierpliwości, ale to oczekiwanie w napięciu nerwów posuniętym do ostatecznych granic mogło wyczerpać najbardziej opanowanego człowieka. Co chwila miał złudzenie, że słyszy szmer i wyteżał słuch, goniąc za imaginacyjnymi krokami - po czym przekonywał się, że był to szelest liści na dworze i przyspieszone bicie jego własnego serca. Dwa razy usłyszał, jak Halam po cichu zmieniał pozycję, starając się rozprostować zdrętwiałe nogi. Minuty uchodziły powoli w śmiertelnej ciszy. Antoniego ogniem paliły oczy, którymi bezskutecznie starał się przebić ciemność. Na dole wybiło trzy kwadransy na drugą.

Nagle reporter zatrzymał oddech i syknął z cicha. Z głębi milczącego domu doszedł go jakiś dźwięk - ledwo dosłyszalny brzęk metalu o metal. Czekał z wytężeniem, wstrzymując oddech, wsłuchując się, czy nie usłyszy dalszych szmerów, które by mu dały poznać, że zbliża się nareszcie dawno upragniony moment.

Ale nic już nie usłyszał. Żaden odgłos nie przerwał ciszy.

Zdawało się, że to czekanie przeciąga się w wieczność. Nic nie było słychać. Antoni zaczął przypuszczać, że uległ tylko halucynacji, gdy nagle z dołu doszedł go odgłos kroków. Ktoś powoli, ostrożnie wspinał się po kamiennych schodach.

Szedł Geoffrey Fearon. Antoni zrozumiał, że teraz wszyscy już słyszą jego zbliżenie, bo nagle ucichły ich głośne oddechy. Szmer ucichł - widocznie Fearon się zatrzymał. Minęła minuta, a potem dało się słyszeć wyraźne szuranie

nogami. które zbliżyło się i zatrzymało przed progiem. Odezwał się brzęk zardzewiałego skobla, gdy drzwi zostały szerzej otwarte, a jednocześnie wyczuł reporter nową obecność w komnacie. W tej chwili nowoprzybyły nacisnął guzik latarki i środek podłogi zalał krąg światła, który wolno zaczął się poruszać wzdłuż ścian i odbity od ich kamiennej powierzchni pokazał czekającym w ukryciu stojącą na środku czarną postać, zgiętą w ruchu, z twarzą zakrytą białą jedwabną chustą: Czarny Garbus!

Fearon nie rozstał się ze swym przebraniem na tę ostatnią wycieczkę. Promień latarki wędrował po ścianach, aż wreszcie zatrzymał się, gdy trafił na plamę blisko okna. Była tam w kamieniu mała okrągła dziura, mająca około dwóch cali średnicy.

Fearon wydał pomruk zadowolenia. Postawił latarkę na wieku jakiejś pustej skrzyni, tej właśnie, za którą skulony siedział Antoni i spod czarnej oponczy wydobył łuk i strzałę.

I wtedy Antoni zaczął działać. Uprzedziwszy tamtych okrzykiem, skoczył na skrzynię, a z niej na ziemię, tuż obok czarnego gościa. Fearonowi wypadły z ręki łuk i strzala i prawie momentalnie wyciągnął z kieszeni automatyk. Ozwał się lekki trzask, błysk pomarańczowego światła - kula świsnęła Antoniemu koło ucha i zagłębiła się w ścianie. Fearon strzelił do niego à bout portant!

Cudem tylko chybił, ale zanim drugi raz zdołał nacisnąć cyngiel, Antoni rzucił się na niego i wykręcił mu rękę trzymającą broń. Pistolet z hałasem padł na podłogę.

Fearon walczył jak tygrys; mocując się i miotając przekleństwa, prowadzali się obaj po wolnej przestrzeni, aż walcząc wciąż zajadle upadli na stos rupieci. Antoni dostał się pod spód. Ale krótko trwała przewaga Fearona, bo już Darrel i Halam skoczyli na pomoc i odrzucili go z ciała reportera przygniecionego jego ciężarem.

Ozwał się brzęk metalu, gdy inspektor zręcznie założył zbrodniarzowi na ręce kajdanki, które miał przy sobie i Fearon rzeził tylko, rzucając zabójcze

spojrzenia na zwycięzców. W swych czarnych spodniach i kurtce stał wśród nich pokonany, jak obraz rozpaczony; chusty zerwano mu w bójce, a twarz miał wykrzywioną wściekłością. W bladym świetle latarki palącej się wciąż na pace wydawał się jakąś demoniczną zjawą z innego świata.

- A więc jednak spotkamy się jeszcze w Old Bailey - spokojnie zauważył Antoni, z uśmiechem obserwując jeńca.

Fearon milczał, ale oczy płonęły mu nienawiścią do człowieka, który zdołał przejrzeć i unicestwić wszystkie jego zamierzenia.

- Sprowadźcie go na dół - rzekł Antoni, odwracając się i biorąc latarkę.

Trzymany z dwóch stron, jak w kleszczach, przez Halama i Darrela, z rękami w kajdankach, Fearon był bezbronny i znać było po nim, że aż za dobrze wie, że jest stracony - choć najwyższym wysiłkiem zapanował nad wzruszeniem i już bez walki pozwolił sprowadzić się po schodach.

Antoni wyprzedził ich i zapalił światło w jadalni.

Gdy to czynił - usłyszał za sobą kobiecy okrzyk i odwrócił się.

Paulina, owinięta w bladoniebieski szlafrok, schodziła z piętra.

- Co się dzieje, panie Vyne? - zawołała, poznawszy go. - Znów słyszałam huk strzału i...

- Już po wszystkim, proszę pani - rzekł spieszenie Antoni. - Nie ma czym się przejmować.

Panie Cunningham! - zawołał - chodź no pan i opowiedz pani, co zaszło. Weź ją pan do salonu, lub gdzie indziej] - dodał ciszej, gdy młody człowiek się zbliżył.

Cunningham zwawo wykonał polecenie i wyprowadził zalęknioną dziewczynę.

Halam i Darrel wepchnęli Fearona do jadalni, gdzie padł na fotel. Zdawało się, że już najzupełniej odzyskał zimną krew, bo z chichotem zwrócił się do Antoniego.

- A więc wygrałeś! Udało się - ale o mały włos!

Sam przyznasz, że powinienem być wykończyć was obydwóch tam w jaskini. Jak zwykle poniosła mnie dramatyczna żyłka. - Zamilkł, a po chwili: - Moglibyście też dać człowiekowi co wypić.

Antoni nalał whisky do kieliszka i podał Fearonowi.

Łapczywie jednym haustem połknął alkohol i blada jego twarz natychmiast nabrała koloru.

- Lepiej mi teraz - oznajmił. - Wolę zresztą wisieć, niż znów całe lata brząkać kajdanami. Umierać musi każdy!

Zatwardziałość jego była zdumiewająca. Ani śladu skruchy po tylu zbrodniach!

Gdy tak siedział rozwalony w fotelu, światło żyrandola padało mu wprost na twarz.

Antoni z uśmiechem w kącikach ust zwrócił się teraz do Halama.

- No jakże? poznaje go pan? - spytał.

Halam zdumiał się.

- Czy poznaję? - powtórzył w osłupieniu. - Nie rozumiem.

- Gdy go pan widział ostatni raz, miał brodę i wąsy - rzekł Antoni - ale nawet bez tej ozdoby łatwo go poznać. Przypomnij pan sobie, Halam - w pewnym mieszkaniu w Bloomsbury... - więcej nie zdążył powiedzieć.

Inspektor-detektyw Halam zerwał się z okrzykiem.

- Wielki Boże! - wrzasnął - toż chyba nie...

- North! - przerwał reporter - Derwent North, morderca Jonathana Harpera.

Niespodzianka była kompletna, a Antoni, który to teatralne rozwiązanie przygotował z miłością, jaką każdy artysta wkłada w swe dzieło - był zachwycony!

* * *

Działo się to w kilka godzin później. Inspektor Porson został wezwany przez telefon i wytłumaczono mu sytuację. Słuchał w niesłychanym zdumieniu,

z szeroko otwartą wielką gębą i oczami wylazącymi z głowy, po czym wspólnie z Halamem odprowadzili Fearona do miejscowego aresztu, gdzie miano go czasowo zatrzymać i skąd miał być przewieziony do Londynu, by tam oczekiwać sądu.

Antoni, uwolniony od niekończących się indagacji Darrela, skorzystał z krótkiej nieobecności inspektora, by zdobyć parę godzin koniecznego wypoczynku, a teraz odświeżony kąpielą, siedział ze wszystkimi przy śniadaniu. Halam właśnie wrócił, osadziwszy Fearona w jedynej bezpiecznej celi, jaką dysponował miejscowy posterunek. Sir Owen, który czuł się już znacznie lepiej, zszedł również na śniadanie i zaciekawiony, słuchał sprawozdania Antoniego z nocnych wypadków.

Ranek zapowiadał się ponury i chłodny, ale teraz zaczął już przekształcać się w dzień pogodny. Miło było na tarasie, gdzie Paulina kazała zastawić śniadanie, a całe towarzystwo wydawało się zadowolone i szczęśliwe, pozbywszy się wszelkiej troski. Chmura wisząca nad Langley Towers rozplynęła się z uchwyceniem Fearona.

Halam był w świetnym humorze. Pochwycenie mordercy było dla niego niezmiernie doniosłym faktem, obawiał się bowiem spotkania z szefem i zasłużonej admonicji za dopuszczenie do ucieczki Northa - czyli Fearona.

- Jedyne rzecz, która teraz pozostaje do zbadania - rzekł Darrel, korzystając z wyjątkowej przerwy, gdy nie miał ust pełnych boczku i cynaderek - to kryjówka, w której leży skarb.

- Będzie mi bardzo miło pokazać ją wszystkim państwu po śniadaniu - rzekł Antoni rozpierając się z dumą na krześle.

- Więc znalazł ją pan? - spytał sir Owen zdumiony, bo nic nie wiedział o wczorajszych wyczynach reportera.

Antoni potrząsnął głową.

- Nie - odpowiedział - ale sprawdziłem pańską hipotezę i przekonany jestem, że jest słuszna.

- Więc ten skarb rzeczywiście istnieje! - zaśmiała się Paulina.

Sir Owen roześmiał się także.

- Zawsze się do niego sceptycznie odnosiłaś, prawda? Naturalnie nie mamy jeszcze namacalnych dowodów, ale jeżeli Vyne się nie myli, to teraz dowiemy się, kto z nas dwojga miał rację.

- I czy istnieje jaki skarb, czy nie - wtrącił Halam - jak dla mnie, Antoni odkrył więcej niż skarb przez złapanie Geoffreya Fearona.

Sir Owen nachmurzył się na to przypomnienie.

- Obawiam się, że cała ta sprawa będzie podczas śledztwa wywleczona na publiczne forum - rzekł posępnie.

Antoni spojrzał na niego poważnie.

- Tego nie da się uniknąć - odrzekł - zresztą, jak wszystkie takie sprawy, będzie ona tylko chwilową sensacją, o której zaraz zapomną.

- Wciąż jeszcze nie mogę pojąć, skąd dowiedział się pan, że Fearon to North - rzekł Halam.

- Na pierwsze posądzenie naprowadził mnie sir Owen - odpowiedział reporter.

- Ja? - rzekł baronet zdumiony.

- Tak - kiedy pan wspomniał, że list otrzymany od Fearona podawał jakiś adres w Bloomsbury. Wtedy była to tylko intuicja, ale gdy zobaczyłem Fearona, poznałem go od razu, choć zgolił brodę i wąsy.

- Ciekaw jestem, jaki miał motyw do zabicia Harpera - zastanowił się Halam.

- Zdaje się, że motywem zbrodni były tu jedynie pieniądze. Fearon wyobrażał sobie pewno, że Harper przechowuje znaczną ilość klejnotów w swojej kasie w Bloomsbury. Może stary przyłapał go, gdy się zabierał do rozprucia takowej. Musiał go wtedy nastraszyć policją, a Fearon otruł starego, wsypawszy kokainy do wody, którą ten przygotował sobie na noc, przy łóżku.

Żeby zatrzeć ślad, udał, że Harper popełnił samobójstwo. Przed rewizją w

mieszkanu starego nie było cienia podejrzenia na Northa i nikt nie wiedział, że to zbiegły kajdaniarz, ale stary wiedział o tym, więc mógł łatwo kazać go aresztować za usiłowanie kradzieży.

- Może i racja - zgodził się Halam. - Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego ten Harper wziął do siebie Fearona?

- Przypuszczam, że łączyły ich dawne stosunki - rzekł Antoni. - W każdym razie Fearon wprost z więzienia udał się do Harpera. Pewno nie miał pieniędzy, nie wiedział, gdzie się podziać - czekał na przesyłkę od sir Owena - a może Harper chciał, żeby mu pomagał w jego lichwiarskich interesach? Jestem pewien, że to była para dobrych kompanów, póki Harper nie odkrył, że Fearon go nabiera.

- A jak dowiedział się pan o tym, że ten łotr był moim krewnym? - spytał sir Owen.

- Mam taki zwyczaj - odrzekł Antoni - że badam najstaranniej przeszłe życie wszystkich osób zamieszanych w sprawę, nad którą pracuję. Gdy tylko dowiedziałem się od panny Langley, że pan był dwa razy żonaty, odszukałem, ile mogłem, szczegółów dotyczących pańskiej pierwszej żony. Nie trudno było odkryć, że posiadała ona brata z bardzo złą reputacją i na którego, jak mnie doszło, zapadło już parę karnych wyroków, które odsiedział w więzieniu. Z ramienia mojej gazety, kazałem robić dalsze poszukiwania, a wyniki otrzymałem właśnie dziś rano. Jeszcze przedtem, gdy tylko panna Langley przyjechała do mnie i opowiadała historię pańskiego zniknięcia, wspomniała, że widziała wtedy, w nocy, schyloną nad panem postać w czerni. Następnie, na moją prośbę, opowiedziała mi legendę o Czarnym Garbusie i ukrytym skarbie.

Wydało mi się jasne, że tutaj ktoś przebiera się za owego ducha, a jedyny powód, któremu mogłem przypisać tę maskaradę, był, że chce mieć wolny wstęp na terytorium Langley Towers, bez narażania się na zbyt ścisłe badania co do swej osoby, gdyby go przypadkiem zobaczyli. Gdyby ktoś z wieśniaków spotkał go tu w tym przebraniu, uciekłby przed nim w zabobonnej trwodze. Nie

byłem tylko pewny przyczyny, dla której ktoś pożąda takiej swobody ruchów w Langley Towers, ale przyszło mi do głowy, że musi to mieć jakąś łączność ze skarbem. Później dowiedziałem się, że właśnie poprzedniego wieczoru, zanim pan zniknął, zdołał pan rozwiązać zagadkę owego wiersza i bliski pan już był znalezienia kryjówki złota. Powstała we mnie wtedy pewność, że w całej sprawie chodzi tylko o to złoto. Nawet śmierć leśniczego Trávisa nie zastanawiała mnie bardzo. Dwa strzały i odnalezienie w ręku Trávisa złotego breloka, który musiał tam być włożony przez mordercę, skoro pan miał na sobie tylko pidżamę i szlafrok - naprowadziło mnie na niewątpliwą drogę ku rozwiązaniu zagadki. Naturalnie, nic jeszcze wtedy nie wiedziałem o egzystencji Fearona, bo dopiero ujrzawszy fotografię na kominku w salonie, dowiedziałem się, że pan już poprzednio był żonaty.

Dokonane poszukiwania w Londynie utwierdziły mnie w posądzeniach, a gdy jeszcze odkryłem, że Fearona świeżo wypuszczono z więzienia, byłem już najpewniejszy, że to ten pański szwagierek przebiera się za Czarnego Garbusa.

Nieudane porwanie panny Langley utwierdziło mnie w przekonaniu, że chce on z pana szantażem wymusić wiadomość, gdzie skarb można znaleźć i postanowił wyzyskać w tym celu pańskie uczucie do córki.

Przecież jedynie to mogło tłumaczyć oba zamachy na nią. Gdy znalazłem pana w jaskini na wzgórzu, sir Owenie, opowiadanie pańskie zupełnie potwierdziło moje przypuszczenia, choć nie spodziewałem się ani na chwilę, że Fearon i North są jedną i tą samą osobą, póki pan nie wspomniał o tym liście z Bloomsbury.

Data opuszczenia przez Northa owego mieszkania i pierwsze zjawy Czarnego Garbusa dokładnie się zgadzały. Wiedział, że posądzają go o otrucie Harpera i nie mógł obmyślić lepszej kryjówki, bo tu miał nadzieję od pana dostać pieniądze, które by mu ułatwiły dalszą ucieczkę. Gdy mu pan odmówił sumy, której żądał, tylko wykrycie skarbu mogło go ratować.

- Zdaje się, że teraz wszystkie fakty są już rozmieszczone prawidłowo - a

że skończyliśmy wszyscy śniadanie (prócz Darrela, który zwykle przeciąga je do lunchu) - pokażę państwu, gdzie ukrywa się skarb, naturalnie o ile sir Owen dobrze rozwiązał zagadkę wiersza.

Wszyscy zgodzili się z ochotą, a Antoni, wstawszy, sprowadził ich z tarasu na trawnik. Przeszedłszy go ukośnie, przedostał się przez otwór w wysokim cisowym żywopłocie, w pobliżu różanego ogrodu.

Znawali się obecnie na jednej linii z północną wieżą.

Zatrzymawszy się przed małą gęstwiną drzew i krzewów, zwrócił się do towarzystwa.

- Jeżeli w tej chwili nie popełniam jakiejś kapitalnej pomyłki, sir Owenie - rzekł, wskazując ręką na ukrytą w gęstwinie figurę Herkulesa z brązu - złoto tam jest ukryte.

- Gdzie? - spytał baronet - o czym pan mówi?

O tej figurze?

- Tak - odpowiedział Antoni - patrzcie!

Zbliżył się do krzaków i ostrożnie odchylił te, które obrastały podstawę rzeźby. Stała ona na marmurowym piedestale i Antoni wskazał małe, białawe skaleczenie na brudnym kamieniu.

- Tu uderzyła kula z gwintówki - zauważył - a przecież ostatnia linia wiersza brzmi: szukaj, a znajdziesz w piersi.

Podniósł wzrok i wskazał na masywny tors figury.

- Zdaje się, że skarb znajdziemy ukryty w tym posągu - rzekł.

- Na Boga! - krzyknął sir Owen - a ja zawsze myślałem, że w piersi znaczy w sobie, w sercu...

Antoni skłonił głowę.

- Ja też tak myślałem, ale sądzę, że wiersz trzeba brać dosłownie. Chodzi o pierś tej figury. Łatwo się zresztą przekonać, czy mamy rację.

- Musi być jakiś sposób dostania się do wnętrza figury, bez rozbicia jej, bo inaczej nie mogliby tam schować skarbu - ciągnął dalej. - Według legendy,

sir Ralph nie miał zbyt wiele czasu na ukrycie złota.

Mówiąc tak, wciągnął się na cokół figury i zaczął szczegółową inspekcję okrytego patyną wieków brązu.

Trudno było odkryć ślad jakiegokolwiek otworu, którydy skarb włożono do wnętrza figury, jeżeli w ogóle był tam ukryty, bo czas i niepogody zatarły każdą najmniejszą szparkę i jeżeli istniał kiedyś znak stanowiący przewodnią nić do odkrycia tajemnicy, zniszczyły go od dawien dawna.

Wszyscy obecni, wstrzymując oddech, wpatrzyli się w Antoniego, gdy dokonywał tych poszukiwań.

Nawet flegmatyczny zazwyczaj Halam okazywał pewien niepokój. Nagle reporter wydał okrzyk, a oczy mu się zaiskrzyły.

- Zdaje się, że mam!! - zawołał.

Stał na palcach z zadartą głową i pilnie wpatrywał się w szyję posągu.

- Za daleko jestem, żeby dokładnie widzieć - ciągnął dalej - ale wydaje mi się, że dostrzegam jakby przerywaną linię dookoła, tu gdzie głowa łączy się z szyją.

- Pozwól mi pan zobaczyć, jestem wyższy, to będę miał bliżej - zawołał Frank Cunningham. Stał na marmurowym cokole i chwyciwszy posąg za szyję, podciągnął się i usiadł na jednym z jego ramion.

- Ma pan zupełną rację - zawołał po sekundzie obserwacji - ciągnie się tu prosta linia dookoła szyi, pod brodą.

- Otóż właśnie - powiedział Antoni - pewno się okaże, że cała głowa da się odśrubować.

- Spróbujcie zaraz, trzeba się przekonać! - wołała Paulina z oczami płonącymi ciekawością.

- Łatwiej to powiedzieć, niż zrobić! - odparł Antoni. - Nie zapominajmy, że tego od wieków nikt nie ruszał i pod wpływem lat, posąg po prostu zrósł się w jedną całość. Zabierze to dużo czasu, a przede wszystkim trzeba będzie ogromnej siły, żeby odkręcić tę głowę.

Cunningham wydobył scyzoryk i zaczął z energią odskrobywać linię gubiącą się miejscami pod patyną wieków.

- Zaczekaj chwilę - rzekł sir Owen. - Przyniosę oliwy.

Odszedł spieszenie ku pałacowi i w kilka minut ukazał się z blaszanką i oliwiarką. Frank odczyścił tymczasem linię z powierzchniowego nalotu brudu i teraz już dookoła była widoczna. Antoni odebrał blaszankę od baroneta i podał Frankowi oliwiarkę, a Cunningham zaczął wpuszczać z niej oliwę w widoczną teraz dla wszystkich szparę. Choć obie części łączyły się dokładnie, miał nadzieję, że oliwa przeniknie do mutry.

Rzucił oliwiarkę i chwyciwszy w obie ręce głowę posągu, wyteżył wszystkie siły, żeby ją przekręcić. Nie drgnęła nawet.

- Próbnij pan w drugą stronę - zawołał Halam.

Cunningham powtórzył wysiłek, ale bez rezultatu.

- Na to trzeba siły więcej niż jednego człowieka - rzekł Antoni. - Gdzie znajdziemy drabinę?

- Zaraz wam przyniosę - krzyknął sir Owen i pędem zaczął biec do małej ogrodniczej szopy u stóp wieży.

Gdy odszedł, Cunningham mocował się dalej z upartą głową, aż poczerwieniał z wysiłku. Po chwili wrócił sir Owen, niosąc małą drabinkę, a Antoni mocno oparł ją o figurę.

Reporter wszedł na wysokość piersi posągu i razem z Cunninghamelem chwycili teraz za głowę z brązu.

Na czoło Antoniego wystąpiły żyły jak sznury, gdy wyteżył swą niepowszednią siłę. Nagle odezwał się ostry zgrzyt i uczyli, jak głowa drgnęła im pod rękami.

- Dalej! - wołał - jeszcze raz!

Teraz udało im się dokonać całego półobrotu.

Głowa poruszała się coraz lżej i po sześciu obrotach odłączyła się od korpusu. Zaledwie starczyło im sił, by ją udźwignąć, a gdy unieśli ją w górę,

upuścili ją na miękką ziemię pod krzakami.

Antoni zajrzał do ciemnego wnętrza posągu.

Wypełniały go prawie pod sam wierzch, ułożone jedne na drugich, sztabki jakiegoś metalu. Antoni wyciągnął jedną i delikatnie zaczął ją skrobać szczyrykiem: było to czyste złoto.

XVII. Koniec Geoffreya Fearona.

Minęło blisko osiem miesięcy. Były to pracowite miesiące dla Antoniego, choć śledztwo w sprawie Fearona zajęło tylko małą część jego czasu. Zrobiło ono niesłychaną sensację i dopóki trwało, było jedynym tematem artykułów wszystkich gazet, między którymi, ma się rozumieć, prym trzymał The Messenger.

Wyrok wiadomy był od samego początku i choć obrońca Fearona zażarcie walczył o jego życie, nie mógł go uratować wobec miażdżących dowodów, które przedstawił Halam. Nie wychodząc nawet z Sali, przysięgli wydali wyrok: winny.

Fearon stał niewzruszony w ławie oskarżonych i wysłuchał wyroku śmierci. Wyglądał na bardziej obojętnego od kogokolwiek z obecnych.

Messenger w ciekawych artykułach rozwodził się nad romantyzmem legendy Langley Towers; opisywał znalezienie skarbu i codziennie pod sensacyjnym tytułem ogłaszał coś nowego tyczącego się sprawy. Ale jak przepowiedział Antoni, sensacja była krótka i jeszcze przed nadejściem dnia egzekucji Fearona, przybycie z Ameryki nowej gwiazdy filmowej zupełnie zatarło w ludzkiej pamięci tragedię Czarnego Garbusa.

Wkrótce po wyroku Fearon ogłosił obszerną spowiedź swych win; przyznał się też do otrucia starego Harpera, a opowiadanie jego prawie słowo w słowo zgadzało się z teorią, zbudowaną przez Antoniego Vyne'a.

* * *

Był to ranek wyznaczony na egzekucję. Antoni siedział w swym mieszkaniu i leniwie przeglądał poranne gazety, czekając na Darrela, który

telefonicznie zawiadomił go o swym przybyciu. Myśli Vyne'a powracały wciąż do zbrodniarza, przez którego życie i kariera reportera o mało nie skończyły się tak marnie.

Oczy jego spoczywały na wskazówkach zegara. Za kwadrans Fearon poniesie karę za wszystkie swe zbrodnie i pójdzie tam, gdzie nie dosięgną go już sądy ludzkie. Chwila była uroczysta. Antoni odrzucił gazetę i leżał w fotelu wpatrzony w sufit. Jakież wewnętrzne powikłania wtrąciły tego człowieka w toń zbrodni? Czy powodowały nim jakieś nieuchwytnie zmiany w najczulszych komórkach mózgu?

- Jeżeli tak, to ostatecznie i ja sam mógłbym być zbrodniarzem.

Wyobrażał sobie, że jakiś atom żwiru musiał przeszkadzać normalnemu funkcjonowaniu tej ludzkiej maszyny - jak kurz na soczewce mikroskopu. Coś psuło i niszczyło tę duszę, jakiś niedorozwój, który zdrowego skądinąd osobnika zamienił w złoczyńcę, zrobił z niego wyrzutka społeczeństwa, kryjącego się w wiecznym strachu, że nieuchronna życiowa Nemezys ręką prawa musi go pochwytać i zniszczyć. Antoni zbudził się ze swych marzeń.

Wskazówka stała na minutę przed ósmą, jeszcze sześćdziesiąt sekund, a dusza Geoffreya Fearona porzuci ten świat i polecą w niewiadome.

Zegar zaczął bić i prawie bezwiednie Antoni zerwał się i stojąco wysłuchał ośmiu uderzeń. Tak zastał go Darrel, który właśnie wchodził do pokoju.

Jednocześnie Frost podał poranną pocztę, która dziś obok zwykłego stosu listów, zawierała poleconą paczkę. Reporter wziął ją w rękę i zauważył, że wysłano ją z Buckinghamshire.

- Ciekaw jestem od kogo? - zauważył, przecinając sznurek.

W papierze było drewniane pudełko i zdjęwszy zeń wieczko, Antoni znalazł starannie opakowaną w watę złotą figurkę. Miała około ośmiu cali wysokości i była repliką posągu Herkulesa z parku Langley Towers pięknie odlaną w szczerym złocie.

- Ach - rzekł Antoni - to podarunek od sir Owena. Mała pamiątka, pewno ulana z tamtych sztab.

- Jakież to piękne, prawda? - rzekł Darrel z zachwytem.

- Istotnie, prześliczna figurka - przyznał Antoni i dodał: - Co za zbieg okoliczności, że właśnie dziś rano nadeszła.

Tłuścioch patrzył na niego chwilę zdumiony. Nagle przypomniał sobie i zrozumiał.

W tej chwili Frost podał im śniadanie i w wesołej atmosferze rannego posiłku reporter po trochu odzyskiwał humor, aż usposobienie jego wróciło do normalnego stanu. Co parę chwil jednak zatrzymywał wzrok na złotej statuetce Herkulesa, którą postawił na kominku, i Darrel, który pochwycił jedno z takich spojrzeń, dojrzał w oczach przyjaciela głęboką zadumę.

-

